NR: 40

ŚWIATOWID

WIELKIE MANEWRY ARMJI FRANCUSKIEJ.



W tych dniach odbyły się w Szampanji jesienne manewry armji francuskiej, które wykazały, że jest ona dzisiaj najlepiej w świecie wyszkoloną i że rozporządza pierwszorzędnym materjałem technicznym. Bliższe szczegóły na str. 20—21. Na zdjęciu: szef sztabu armji francuskiej i jej naczelny wódz na wypadek wojny gen. Weygand (w pośrodku) w towarzystwie ministra wojny Paul Boncoura (po prawej).

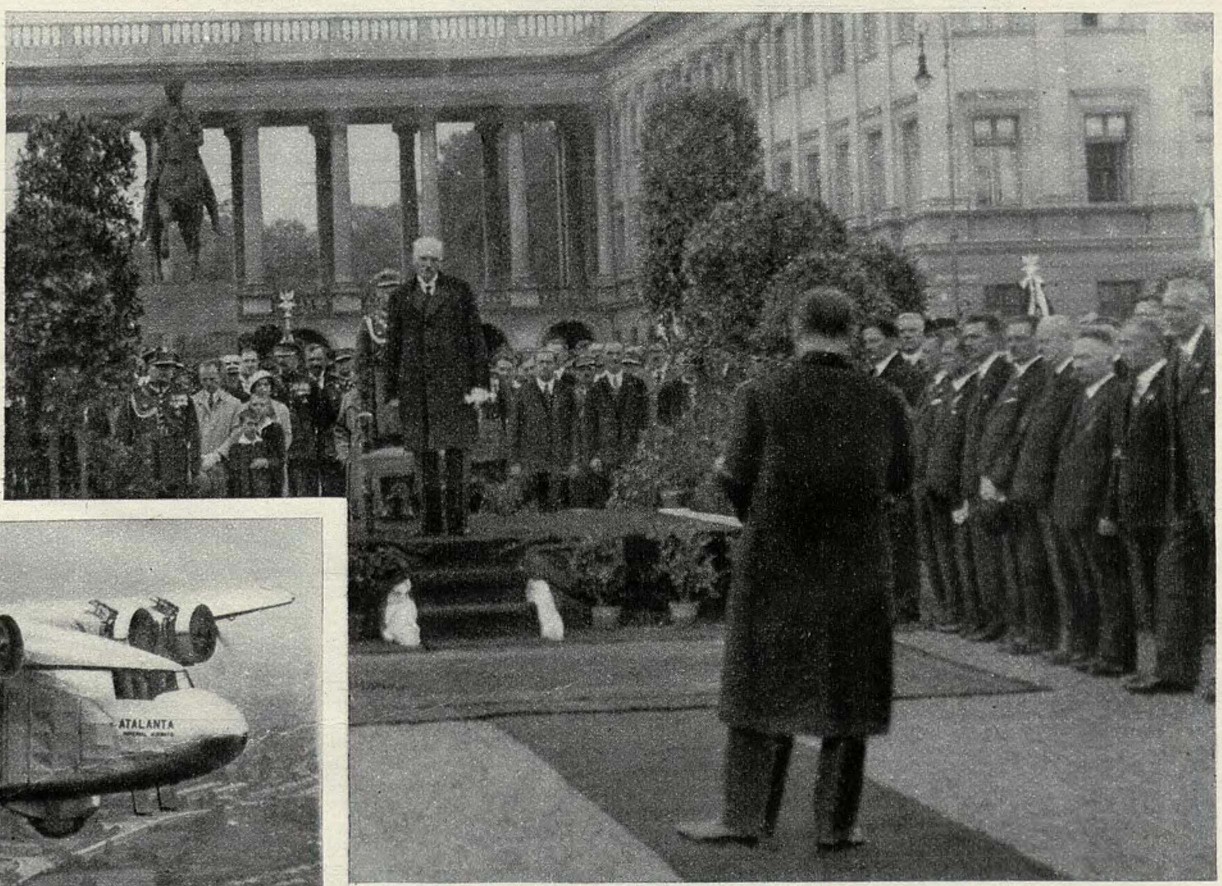
Z TYGODNIA.



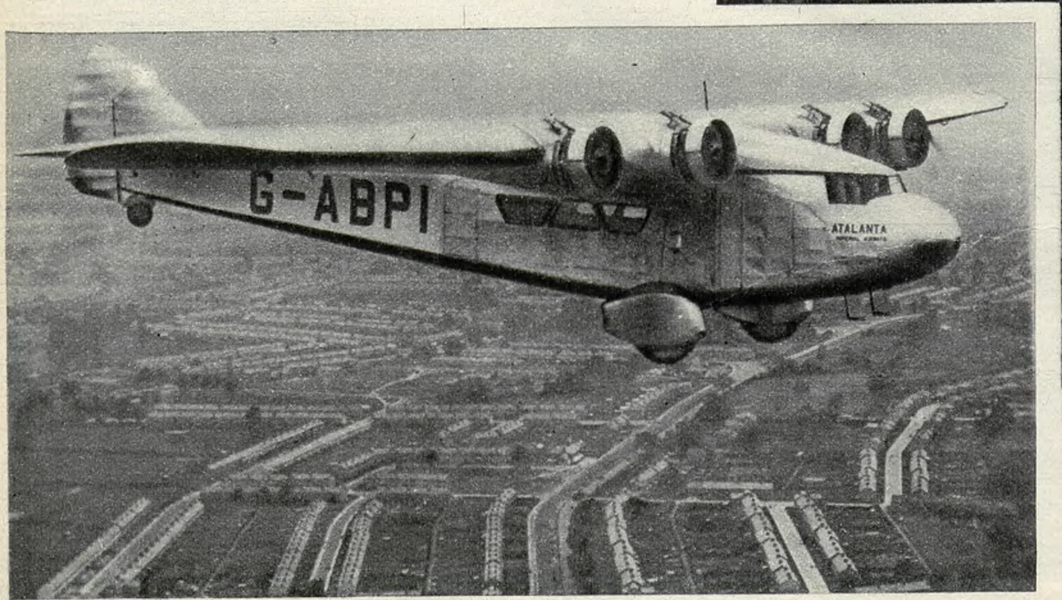
KRAKÓW KU CZCI BOHATERSKICH LOTNIKÓW. W ubiegłą niedzielę olbrzymi dziedziniec ardowy na Wawelu zapełnił się po brzegi publicznością (na zdjęciu), która tłumnie przybyła, aby złożyć hołd pamięci bohaterskich lotników, ś. p. porucznika Żwirki i inżyniera Wigury. Na uroczystości te złożyły się przemówienia dyrektora Osterwy, majora Wojtygi, p. Szczepańskiego, posła Szyszki i innych, oraz produkcje muzyczno-wokalne, wykonane przez artystów teatru miejskiego i orkiestrę.



NIEPRAWDOPODOBNY REKORD. Znanemu badaczowi amerykańskiemu dr. Williamowi Beeben (na zdjęciu) udało się skonstruować kulę stalową, przy pomocy której opuścił się on na dno morskie, w pobliżu Bermudów, na głębokość 750 metrów. Dotychczasowe aparaty nurkowe wytrzymywały tylko ciśnienie 400 metrów.



ŚWIĘTO KOLEJARZA POLSKIEGO. Kolejarze polscy zapisali się chlubnie w walkach o niepodległość naszej ojczyzny. Dzięki ich wytężonym staraniom kolejnictwo polskie, pomimo początkowych braków, stanęło w decydujących dniach na wysokości zadania, a transporty wojska zarówno w 1919, jak 20 roku mogły odbywać się sprawnie. Dziś praca nad wojskowem przysposobieniem kolejarzy jest prowadzona w dalszym ciągu w sposób metodyczny i celowy. Dowodem tego było dwudniowe święto kolejowego przysposobienia wojskowego w Warszawie, które odbyło się dnia 24-go i 25-go bm. pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Na zdjęciu: prezes zarządu poseł Starzak, wygłaszający przemówienie do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, na placu Marszałka Piłsudskiego.



WYSTAWA ANGIELSKA W KOPENHADZE. W stolicy Danji otwarto wielką wystawę przemysłu angielskiego. Na otwarcie jej pospieszył angielski następca tronu, książę Walji, który podróż z Londynu do Kopenhagi odbył na pokładzie olbrzymiego aeroplanu „Atalanta". Po drodze aparat ten wskutek mgły zmuszony był lądować w Niemczech.

WYSTAWA ARTURA SZYKA W KRAKOWIE.

Malarstwo minjaturowe sięga swemi tradycjami jeszcze w czasy starożytne, a osiągnęło swój złoty okres w średnich wiekach, gdy rękopisy, zbiory modlitw, mszały itp. iluminowano barwnemi obrazkami i szczegółami zdobniczemi.

Drugą kategorją minjatury jest portret, czy kompozycja luźno dla siebie istniejąca.

Oba te rodzaje z czasem zanikają w miarę rozwoju techniki malarskiej, drukarskiej, graficznej i fotograficznej, a jedynie w bardzo małym zakresie istnieje minjatura portretowa, którą w Polsce reprezentuje współcześnie Marja Dąbrowska.

Malarstwo minjaturowe jest techniką malarską niezwykle żmudną i trudną ze względu na wymiar obrazu i materjału w tym wypadku stosowanym. Dlatego to prace minjaturowe Artura Szyka, art.-mal. z Łodzi, obecnie w Krakowie wystawione po odbyciu okrężnej wystawy po licznych ośrodkach artystycznych zagranicą i Polski budzą podziw swą ilością i jakością artystycznego opracowania. Jeśli bowiem zważymy, że choćby tylko jeden z tych cyklów minjatur, tj. „Statut Kaliski“ malował artysta prawie 3 lata — zrozumiemy wartość pełną tych malowideł, jak i ogrom pracy włożonej w te minjatury. W poszczególnych cyklach minjatur, czy to z dziejów J. Washingtona, S. Bolivara czy w „Pakcie Ligi Narodów“ przedstawia artysta w barwnych obrazkach, malowanych farbami wodnemi i gwaszami zdarzenia historyczne i walkę o wolność odnośnych narodów i o utrwalenie pokoju świata.

Twórczość minjaturową Artura Szyka cechuje obok rzetelności formy, dużej umiejętności i sprawności technicznej, różnorodność kształtów i bogactwo ozdób stosowanych w pełni odczutego charakteru i stylu epoki, a nader sumiennie wykonanych i opracowanych nawet w najdrobniejszych szczegółach. I choć są to obrazki małych wymiarów jednak posiadają wielką wartość i wyraz artystyczny. Nic więc dziwnego, że artysta nasz zyskał sobie za swą twórczość na polu minjatury zasłużone uznanie zarówno zagranicą, jak i w Polsce.

m. d.



ŚMIERĆ PUŁASKIEGO POD SAVANNAH

z cyklu minjatur zamówionych przez Rząd St. Zjedn. Ameryki Półn., obejmującego życie i epokę G. Waszyngtona, w 36 kompozycjach Artura Szyka.



WOODROW WILSON
karta iluminowana z cyklu „Pakt Ligi Narodów“.

PRAWO ZEMSTY U ALBAŃCZYKÓW.

W Albanji obowiązuje od wieków prawo zemsty rodowej, czyli szpagumei. To znaczy, że każde zabójstwo musi być tam pomszczone. Kto się od tej powinności uchyli, ten naraża się na ogólną pogardę i szykany, wśród których życie stanie się dla niego nieznośnem. Obowiązek zemsty ciąży na najbliższych krewnych zabitego, którzy mają ścigać mordercę, gdy zaś ten umknie i stanie się nieuchwytnym, jego rodzinę. Duchowieństwo i kobiety wyjęte są z prawa biernego vendetty. Hańbą jest bowiem zabić kobietę, a zabójca jej, winien jest podwójnej krwi. Między mężczyznami dwie rany liczą się za jedną krew śmiertelną. Kto strzelił, choćby chybił, wziął honor przeciwnika i musi się spodziewać jego odwetu przy pierwszej lepszej sposobności, jeżeli nie zawrze zgody. Gdy krew nie popłynęła można umożyć zemstę wynagrodzeniem. Małżonek oszukany w swych prawach małżeńskich zabija tych, którzy go znieważyli, a więc i gacha i żonę. Ale ponieważ w ten sposób naraża się na zemstę odrazu dwóch wrogów, przeto zwykle udaje się do rodziny swej żony i po złożeniu dowodów jej zdrady otrzymuje od teścia, lub szwagra kulę, co ma znaczyć: zabij ją! Wówczas nie jest już dłużen jej śmierci, był bowiem tylko wykonawcą cudzego wyroku.

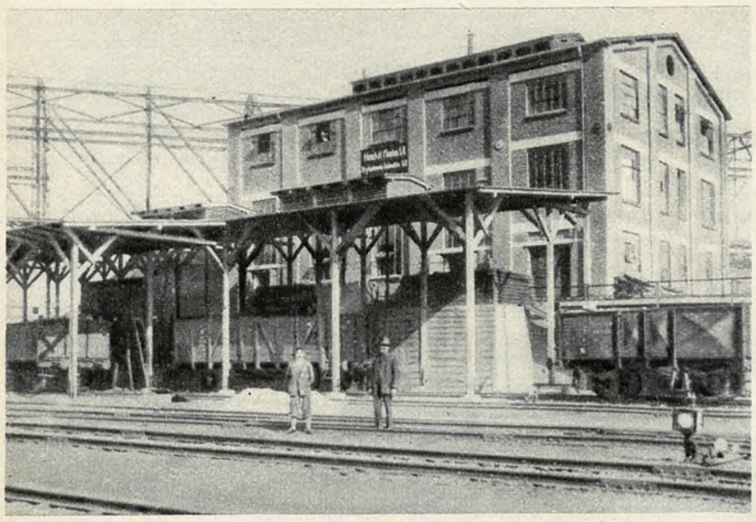
Trup zabitego w pomście nie bywa myty przed pogrzebem, gdyż myje go jego własna krew. Strzały padają jawnie, albo też z zasadzki, przyczem każde zabójstwo powoduje nową zemstę i konieczność nowego rewanżu. Raz jedna, to znowu druga rodzina jest pod grozą krwi. Gdy rody, będące w walce wyczerpią się, lub gdy z obu stron padła równa ilość ofiar, wtedy za pośrednictwem starszyzny następuje pokój. Rodzina nieposłuszna tej uchwale naraża się na spalenie jej siedliska. Książę albański Dukadżynu spisał prawo zwyczajowe vendetty (po albańsku szpagumej). Określa ono szczegółowo całą procedurę postępowania osobników i rodów, nad którymi ciąży prawo krwi, od której ani na włos odstąpić nie można. Jest to swego rodzaju albański kodeks honorowy. Dziś czynione są w Albanji próby, aby prawo zemsty złagodzić, niestety jednak nie trafiają one na grunt podatny. Ciemni i fanatyczni Albańczycy nie chcą słyszeć o żadnym postępie na tem polu.



Uzbrojona od stóp do głów rodzina albańska.

HENCKEL MONTAN S. A.

FABRYKA BRYKIETÓW W RADZIONKOWIE, POCZTA BUCHACZ.
ZARZĄD: TARNOWSKIE GÓRY, KARŁUSZOWIEC.

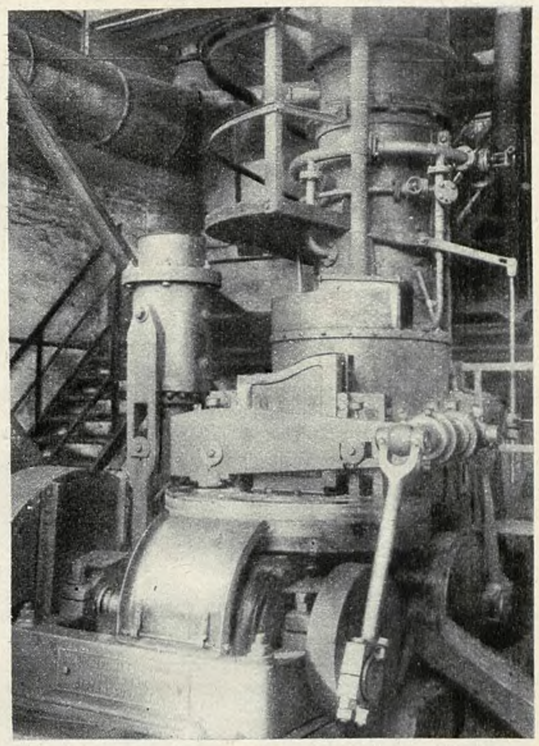


Brykietownia w Radzionkowie — widok ogólny.

Mamy do zanotowania pocieszający fakt godny uwagi, a mianowicie otwarcie w dzisiejszych ciężkich czasach gospodarczo-ekonomicznych, nowej placówki przemysłowej, a to fabryki brykietów w Radzionkowie na Górnym Śląsku. — Fabryka produkuje brykiety pierwszorzędnej jakości z miału węgla górnośląskiego w formie cegiełek prasowanych o ciężarze 1 i 3/9 kg. — Wielką zaletą brykietów jest ich forma zewnętrzna w kształcie cegiełek, ułatwiająca ich zastosowanie, przewóz, a szczególnie czystość w użyciu. Fabryka brykietów zaspakaja w dużej ilości zapotrzebowanie na paliwo w kraju i eksportuje za granicę. — Uroczyste otwarcie i poświęcenie odbyło się w dniu 26 kwietnia 1932 r. w obecności dyrekcji i inżynierów technicznych, oraz władz miejscowych. Ponieważ brykietownia jest urządzona według najnowszych postępów techniki, jest w możności brykiety sprzedawać po cenie o wiele tańszej od węgla górnośląskiego i brykietów konkurencji.

Kierownictwo handlowe spoczywa w rękach dyrektora Bogusława Kuryłowicza, a techniczne inżyniera Józefa Zintla.

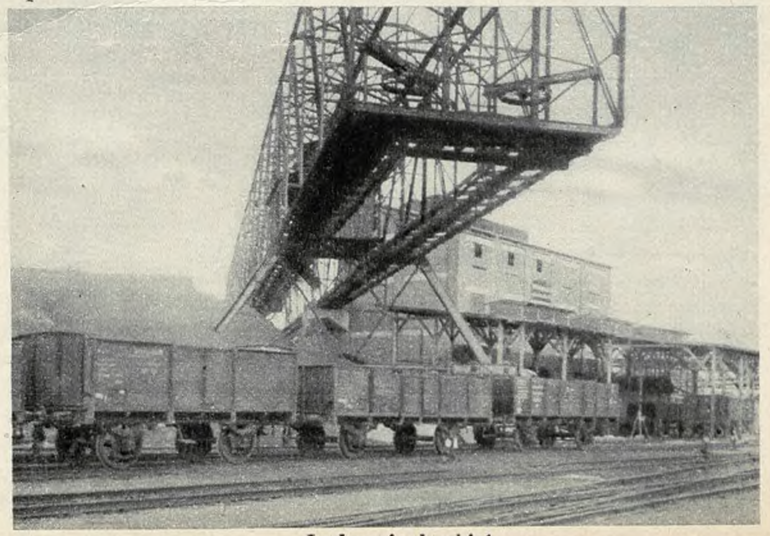
Nowej placówce „Szczęść Boże.



Hala maszyn.



Prasa brykietowa wyrzucająca brykiety wprost do wagonów.

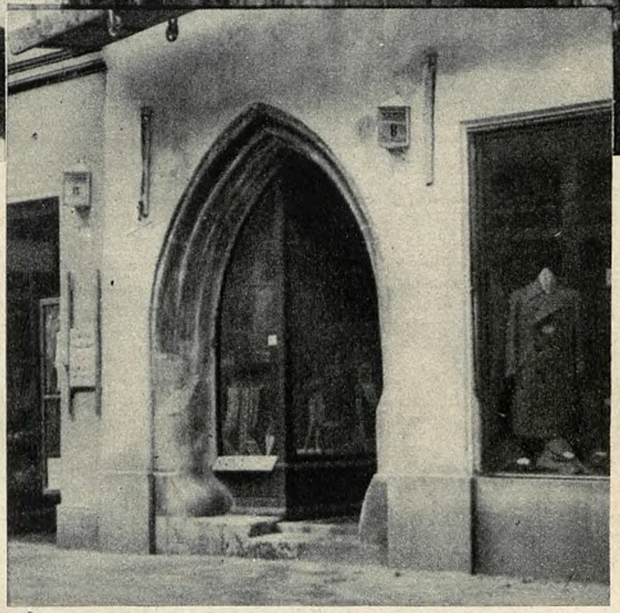


Ładownia brykiet.

NOWE ODKRYCIA W ŚRÓDMIEŚCIU KRAKOWA.



Ulica Florjańska w Krakowie



Świeżo odkryty gotycki portal w domu przy ulicy Florjańskiej Nr. 8. Dotychczas zakrywało go ohydne pudło wystawowe.

Powracających z letnisk mieszkańców Krakowa musiał uderzyć niezwykły ruch budowlany, jaki zapanował w ostatnich miesiącach na ulicach śródmieścia. N. p. w ulicy Florjańskiej, a zwłaszcza w pierwszej jej części od Rynku Głównego, prawie każdy dom otoczono parkanem, z poza którego dochodzą odgłosy, świadczące o gorączkowej pracy.

Praca ta to nowy wspólny wysiłek naszych obywateli w kierunku upiększenia śródmieścia.

— Co można jeszcze upiększać w śródmieściu, spyta niejeden — wszak bruki i chodniki są zupełnie możliwe, oświetlenie też niezgorsze, a domy, jak domy, jeden przeciętny, drugi istne muzeum...

Właśnie te domy są obecnie upiększane przez ich posiadaczy i to w sposób dość oryginalny. Upiększanie to bowiem polega na tem, że się usuwa to, co właśnie dla upiększenia kamienic urządzono przed kilkudziesięciu laty.

Mam tu na myśli te obrzydliwe drewniane pudła zwane portalami, któremi mniej więcej na przełomie wieku XIX i XX ugarnirowano w sposób wprost barbarzyński prawie wszystkie kamienice w śródmieściu, posiadające w parterze lokale sklepowe.

Opowiadał mi jeden z moich znajomych, właściciel kamienicy w Rynku Głównym, że miał w latach około 1900 do wynajęcia w śródmieściu sklep bardzo porządny i obszerny. Sklepu tego pomimo, że znajdował się w pierwszorzędnem miejscu, nikt nie chciał przez dłuższy czas wynająć tylko dlatego, ponieważ brak mu było takiego właśnie lakierowanego pudła nad wejściem, co wówczas było uważane w Krakowie, zapatrzonym w wiedeńską secesję, za grube parweniuszostwo. Wreszcie mojemu znajomemu sprzykrzyło się czekać na lokatora i kazał nasadzić nad wejściem drewnianą trumnę odpowiednio wylakierowaną. Skutek był piorunujący: do tygodnia sklep wynajęto.

Taki to stan rzeczy istniał w Krakowie, i nie tylko w Krakowie, do wojny, która nauczyła ludzi wiele pożytecznych rzeczy. Przynosi ona nam również zmianę na odcinku „rzeczy pięknych". Po wojnie ludzie zaczynają znowu rozumieć mowę dawnych wieków, zaklętych w kamień, znowu zaczynają rozróżniać szczere piękno murów, świadków naszej dawnej wielkości, od fałszywej tandety, narzuconej nam w okresie niewoli. Zaczyna się więc ruch, mający na celu oczyścić kamienice z drewnianych pasożytów. Z początku ruch jest nieśmiały; gdzieniegdzie tylko więcej uświadomiony właściciel lub kupiec rąbie siekierą wyzłoconą trumnę i przebudowuje front kamienicy według współczesnych wymogów, z zachowaniem jednak tego wszystkiego, co nam wieki zostawiły. Tak powoli przeobraził się Rynek Główny i część ul. Florjańskiej od strony Bramy Florjańskiej. Dopiero po odkryciu szeregu kamienic zorjentowano się, że pod temi pudłami kryją się nieraz niezwykle cenne zabytki architektoniczne. I robota zawrzała na całej linji. Posypały się pudła jedno za drugiem, gdyż przykład okazał się zaraźliwy. Właściciel realności, widząc jak sąsiad portal przerabia i wchodzi do swego domu przez bramę, jakby żywcem przeniesioną z komnat królewskich na Wawelu, tak długo deliberował, aż wreszcie i on również mógł się poszczycić pięknym rezultatem.

W roku bież. przebudowano do tej chwili 27 kamienic i usunięto 45 pudeł, odkrywając rzeczy nieraz niezwykle ciekawe i charakterystyczne, które niebawem po przywróceniu ich do dawnej świetności, będą dostępne dla ogółu mieszkańców. Nie będę wchodził w ocenę wartości odkrytych fragmentów — należy to do „uczonych w piśmie". — Chcę jedynie podkreślić to, że mieszkańcy Krakowa zareagowali na ten ruch „odkrywczy" bardzo żywo i sympatycznie. Wystarczy przejść ul. Florjańską, lub Grodzką, ażeby zauważyć cały szereg osób, które przechodzą od kamienicy do kamienicy i śledzą z zaciekawieniem wyniki dotychczasowej akcji.. Ba, przed paru dniami odbyła się na ul. Florjańskiej, w czasie największego ruchu ulicznego w godzinach popołudniowych, gromadna wycieczka pod przewodnictwem zasłużonego dla popularyzacji zabytków naszego miasta dr. Dobrzyckiego, której celem było (jak głosił oficjalny komunikat) zwiedzanie zabytków domów ul. Florjańskiej „z pokazem ostatnich ciekawych odkryć architektonicznych".

Obok względów artystycznych ma ta przebudowa portali znaczenie również komunikacyjne. Ulice w śródmieściu są ulicami wązkiemi. Niema w tem zresztą nic dziwnego. Wtedy kiedy powstawały, kiedy się w Krakowie budowano — miasto było małe, a ruch uliczny, w pojęciu dzisiejszem, wogóle nie istniał. Wązkość tych ulic to ciężki dziś problem dla władz miejskich wobec rozrostu miasta i motoryzacji ruchu, przy równoczesnej jego grawitacji w kierunku centralnym, jakim jest właśnie to ciasne śródmieście. Może nie wiele czytelników zdaje sobie sprawę z tego, jak portale wpływały na zwężenie i tak już wązkich ulic. Portal bowiem im bogatszy, tem bardziej musiał być okazały i to we wszystkich trzech wymiarach. A więc na wysokość sięgał często do pierwszego piętra, gdzie kończył się dachem, czasem nawet miedzianym, zaopatrzonym w rynny. Na szerokość oblepiał nieraz cały parter drewnianą boazerją lub napisami na szkle lub blasze. Na grubość zaś występował w chodnik. Rywalizacja święciła tu prawdziwe orgje. Każdy mianowicie właściciel sklepu starał się urządzić portal o większym występie w grunt ulicy, ażeby jego sklep więcej rzucał się w oczy przechodzącej publiczności.

Jako dowód, do jakiego stopnia wpływało to na ścieśnienie ulicy, niech posłuży fakt, że po obecnie odbywającem się przebudowaniu portali w ul. Florjańskiej, szerokość tej ulicy zwiększy się w niektórych miejscach o 80 cm., ogólna zaś suma powierzchni wydobytej z pod portali w ul. Florjańskiej wyniesie 107.50 m. kw.! Jakie to ma doniosłe znaczenie dla komunikacji pieszej i kołowej, nie potrzebuję zdaje się uzasadniać.

Tak więc realizm współczesnego życia i wymogi współczesnego pojęcia o etyce i piękności podały sobie zgodnie ręce, celem osiągnięcia swych, wydawałoby się djametralnie rozbieżnych, postulatów.

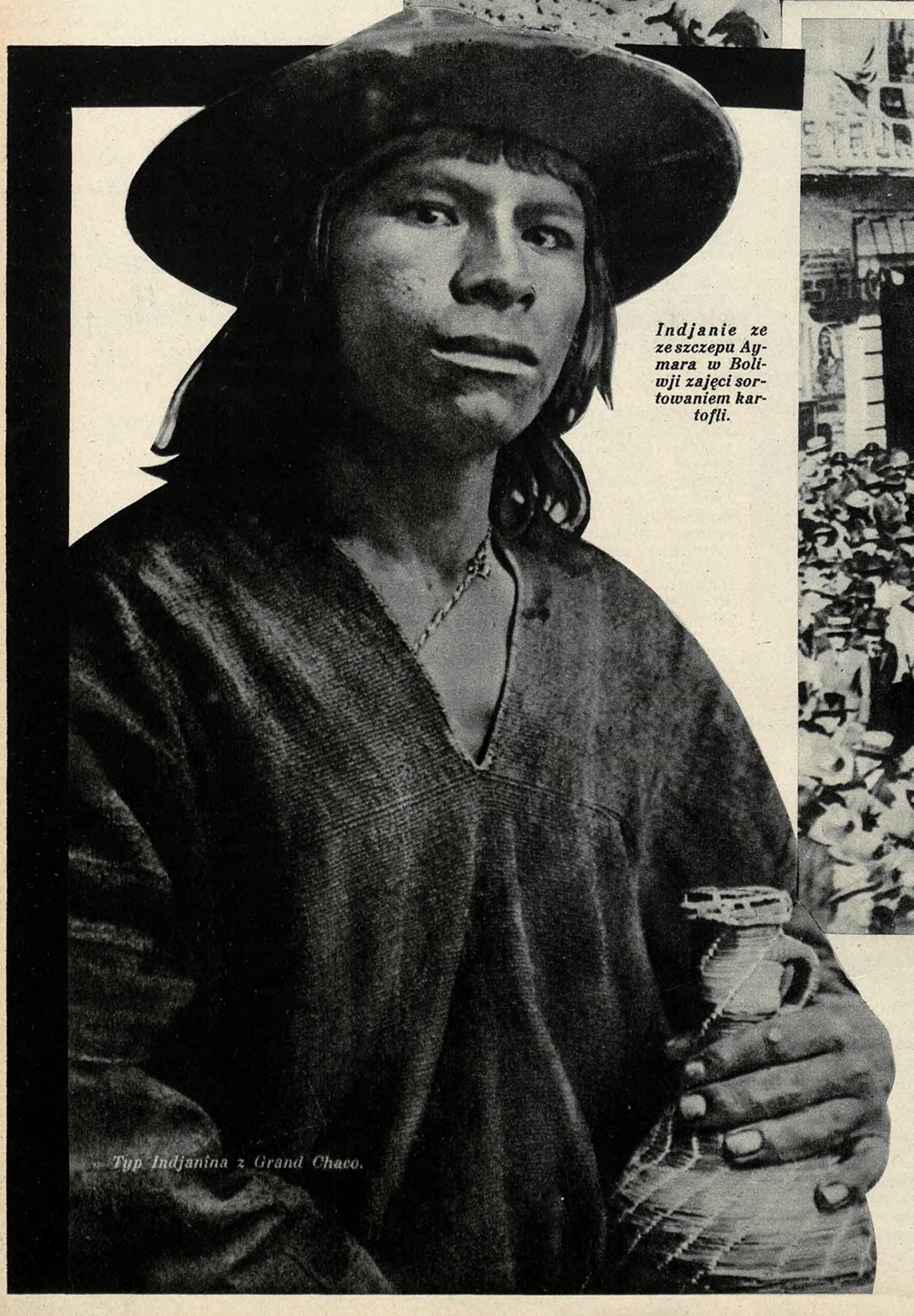
Dr. Jan Grabowski.

PRZED ZAWIESZENIEM BRONI W GRAN CHACO.

Zaczęta przed kilku miesiącami, wśród ogólnego zapału wojna Boliwji z Paragwajem ma się już ku końcowi. Oficjalnie nazywa się, że obie strony skłonne są do zgody, idąc za Radą Ligi Narodów, miłującej, jak wiadomo, nadewszystko pokój, w gruncie rzeczy jednak trudno prowadzić wojnę, kiedy się niema pieniędzy i widoków na kredyt. To też powoli w Boliwji i w Paragwaju ucisza się i ludzie wracają do swych codziennych zajęć, t. zn. do kopania kartofli, które stanowią główną podstawę dobrobytu mieszkańców tych krajów. Mieszkańcy ci to Indjanie, należący do najrozmaitszych szczepów. Wśród nich wyróżniają się Indjanie ze szczepu Aymara, u których kultura rolna, a przedewszystkiem uprawa ziemniaków, stoi dość wysoko. Boliwja bowiem obok innych państw środkowej Ameryki jest ojczyzną ziemniaków. I to jest może największy powód do chwały tego małego i zapomnianego kraju, któremu ludzkość zawdzięcza najcenniejszy dar, a mianowicie kartofle. Po raz pierwszy bliższą znajomość zawarli z nimi odkrywcy Ameryki na przełomie 15-go i 16-go wieku. Wedle relacyj tych podróżników, ziemniaki były od wieków uprawiane przez Inkasów i stanowiły podstawę ich pożywienia. W Europie jednak początkowo ziemniaki nie przyjęły się, poprostu nie chciano ich jeść. Na nic np. spełzły próby handlarza niewolników Hawkinsa, który chciał nauczyć Irlandczyków uprawy ziemniaków. W 1596 roku Franciszek Drake ofiarował botanikowi Gerardowi nasiona kartofli, z których wyprodukowano pierwszy zbiór w Londynie.



Indjanie ze ze szczepu Aymara w Boliwji zajęci sortowaniem kartofli.



Typ Indjanina z Grand Chaco.



Tłumy Boliwiańczyków demonstrujących w stolicy Laz Paz przeciwko Paragwajowi.

W 1663 roku spróbowano w Irlandji uprawy ziemniaków, aby przeciwdziałać klęsce głodu, która wtedy tam panowała.

Jeszcze w 1616 roku podawano we Francji kartofle, jako rzadki przysmak na dworze królewskim.

Przy końcu 18-go wieku ziemniak zaczyna być pożywieniem ubogiej ludności. Szczególnie Fryderyk II nie wahał się nawet przy pomocy drakońskich środków zmuszać rolników do uprawy kartofli, szczególnie na Pomorzu i na Śląsku. Rząd rosyjski płacił hodowcom ziemniaków wysokie premje (1844 r.).

W Polsce zasługę wprowadzenia kartofli ma biskup Załuski.

Dzięki więc Inkasom i ich potomkom Indjanom z Boliwiji, Paragwaju, Peru i innych republik południowo-amerykańskich, ma Europa i cały świat królewski dar w postaci kartofla, który codziennie pojawia się na stole zarówno najwyższej arystokracji, jak i najuboższych sfer i zawsze jest jednakowo mile widziany.

Wracając od tej dygresji ziemniaczanej do wojny, trzeba zaznaczyć, że główny interes w jej prowadzeniu mają firmy naftowe, zarówno angielskie, jak amerykańskie i holenderskie, którym zależy na eksploatowaniu nafty w rejonie Gran Chaco. Firmy te, które muszą finansować całą ruchawkę, widzą jednak, że gra nie warta jest świeczki, gdyż przewlekąca wojna więcej kosztuje, aniżeli wynosić będą spodziewane zyski. Są więc skłonni do zgody, zwłaszcza, że Argentyna, Brazylja, Chile i Peru zawarły ze sobą układ, według którego nie uznają w związku z obecnym zatargiem między Boliwją i Paragwajem, żadnych zmian terytorjalnych, wymuszonych siłą.

Na ochłodzenie zapału wojennego, który zwłaszcza wśród dziewcząt paragwajskich przybrał formę ostrego szału, wpływa także i to, że w Ameryce Południ. rozpoczął się już okres deszczów, który uniemożliwi wszelkie operacje wojenne. A może spróbują interwencji... także fabryki kosmetyków. Kobiety paragwajskie złożyły bowiem ślubowanie, że tak długo nie będą używały pudru i innych kosmetyków, jak długo Gran Chaco nie będzie przyłączone do Paragwaju. Wobec tak wielkiej groźby, kto wie, czy do wojny koncernów naftowych nie wmieszają się także Cotty, Houbigant, Bourgois, Worth, Colgate, a jakiś nowy Lehar nie omieszka tej wojny użyć, jako tematu do nowej operetki pt. „Wojna Boliwji z Paragwajem".

Kum.

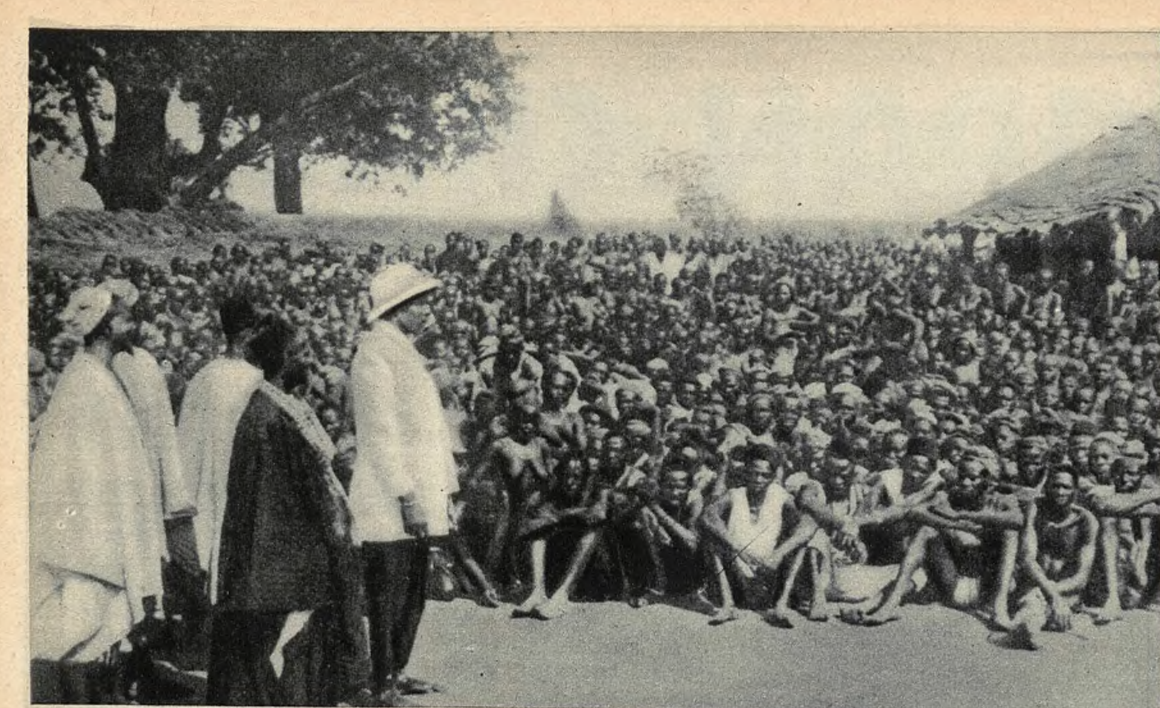


Cmentarz indyjski w Paragwaju. Wałęsa się po nim nierogacizna, której ofiarą padają ciała nieboszczyków, wywlekane z płytkich grobów i grobowców.



Najpopularniejszem zwierzęciem jucznem Boliwji i Paragwaju jest lama (na zdjęciu). Zwierzęta te doskonale wspinają się po górach, odnajdując drogę wśród urwisk skalnych, są mało wymagające i dostarczają wysokowartościowej wełny.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



TARG NA NIEWOLNIKÓW. Pomimo, że oficjalnie niewolnictwo zostało w całym świecie zniesione, przecież są jeszcze kraje, gdzie dotąd handel niewolnikami kwitnie, jak to ma miejsce przedewszystkiem w Abisynji i w Centralnej Afryce. Zdjęcie nasze przedstawia targ na niewolników w Abome (kolonja francuska w Dahomei). Niewolnicy obojga płci są tam sprzedawani publicznie na licytacjach. Najwyższe ceny osiąga się za mężczyzn w sile wieku, gdyż stanowią oni najlepsze siły robocze. Dobrze również są płacone młode dziewczęta. Władze muszą tolerować ten niecny proceder, gdyż jest on źródłem zysków dla różnych kacyków i osób wpływowych.



FKSPLOZJA NA STATKU. Kilkudziesięciu robotników, którzy udali się starym parowcem „Observation" z River Island do Nowego Jorku znalazło śmierć wskutek eksplozji, która nastąpiła na tym okręcie. Na zdjęciu zwłoki czterdziestu robotników badane przez komisję po katostrofie.



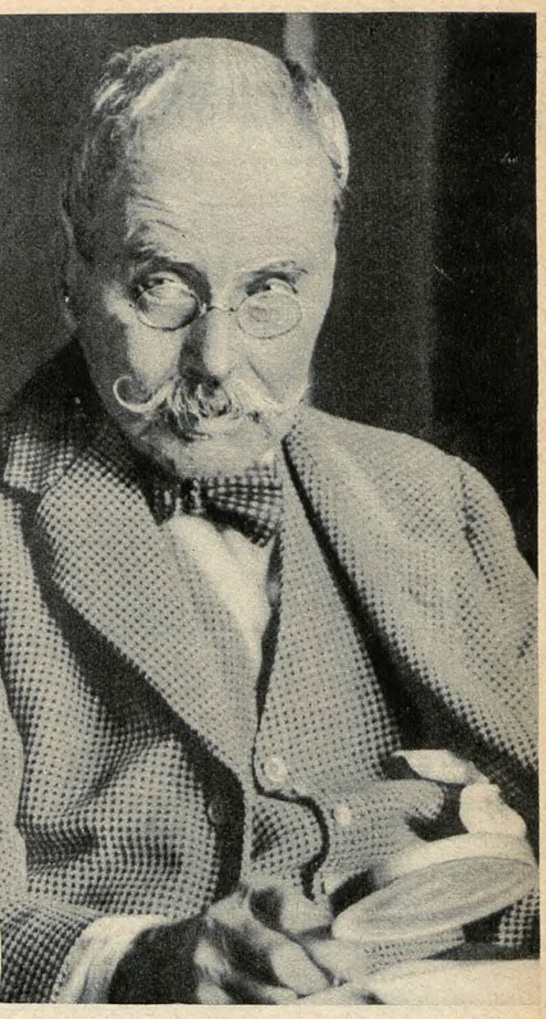
DOOKOŁA WINOBRANIA. Winogrona w tym ropu obrodziły bardzo i to nietylko we Francji, ale także na Węgrzech, w Hiszpanji i w krajach Bałkańskich. Właściciele winnic nie cieszą się jednak z tego urodzaju, gdyż zbyt na wino jest z roku na rok coraz mniejszy, z powodu trudności eksportowych. Na zdjęciu winobranie w Szwajcarji.



STRASZNA KATASTROFA KOLEJOWA W ALGIERZE. Pociąg, wiozący żołnierzy z Legji Cudzoziemskiej wykoleił się w pobliżu Turenne i spadł z wiaduktu w 100-metrową przepaść, przyczem 70 ludzi zostało zabitych, a 200 rannych. Przyczyną katastrofy były długotrwałe deszcze, które podmuliły nasyp. W pierwszej chwili przypuszczano, że wykolejenie pociągu spowodowali zamachowcy, drobiazgowo jednak przeprowadzone śledztwo wykazało beznodstawność tej tezy. Na zdjęciu pogruchotane w katastrofie wagony.



ROZRUCHY KOMUNISTYCZNE W ANGLJI. W związku ze strejkiem robotników w przędzalniach, w centrum przemysłu bawełnianego w Birkenhead przyszło tam do zaburzeń komunistycznych i plądrowania sklepów. Na zdjęciu publiczność, oglądająca szyby, wybite w sklepach przez bezrobotnych.



ŚMIERĆ DOBROCZYŃCY LUDZKOŚCI. W Londynie umarł w 75 roku życia Sir Ronald Ross (na zdjęciu), który całe życie swoje poświęcił badaniu malarji. Studja swoje rozpoczął on w 1882 roku w Indjach. Wkrótce potem wystąpił on z teorją, że roznosicielami malarji są samice komara Anopheles, co na podstawie późniejszych doświadczeń zostało potwierdzone. Sir Ronard Ross otrzymał za swoje epokowe odkrycia w dziedzinie medycyny nagrodę Nobla w 1902 roku. Następnie obejmuje on stanowisko naczelnego dyrektora szpitala dla chorób tropikalnych w Londynie. Mniejwięcej do roku 1914 leczono malarję chininą. Dopiero później, w czasie wojny, kiedy na froncie włoskim, albańskim i tureckim dziesiątki tysięcy zapadły na tę straszną chorobę Niemcy rozpoczęli próby leczenia malarji przy pomocy salwarsanu.

Feljeton tygodniowy.

PRZED NOWYM SEZONEM TEATRALNYM W WARSZAWIE.

Kryzys teatralny, panujący na całym świecie, ma charakter nietylko konjunkturalny, ale i strukturalny. Teatr przeżywa się, teatr nie stoi w obecnej swej formie i wyrazie na poziomie epoki radja i samolotu. Głowią się teoretycy i praktycy, jak uratować chorego, co poradzić na ogólną anemję twórczą i frekwencyjną. Narazie, zanim zostanie zdecydowane, czy choroba jest nieuleczalna, czynione są przez teatralnych Steinachów i Woronowów próby odmładzania starczego organizmu. Stwierdzić należy, iż teatr przestał być, tak jak to było przed wojną, popularnym artykułem pierwszej potrzeby duchowej, a zastępuje go dla wielu radjo, kino, gramofon, widowiska sportowe. Konkurencja poważna, stojąca na poziomie pożądań intelektualnych szerokich warstw, a pomysły „wykształcenia" publiczności — to są fantazje: publiczność — uświadomiony proletarjat duchowy, dyktuje swe żądania i biada temu, kto chce płynąć pod prąd. Może zamknąć budę. A że tam przy użyciu jakichś tricków, czy to przez obsadę z samych gwiazd, czy nowoczesne spreparowanie wartościowej sztuki, zdarzą się sukcesy sztuk wybitnych — to te nieliczne wydarzenia nie zmieniają w niczem sytuacji teatralnej. Zresztą — bądźmy otwarci: każdy chce zarobić, dyrektor teatralny też (mimo patosu enuncjacji przedsezonowych), więc nie może na złość kasie prowadzić teatru i musi, szczególnie w obecnej konjunkturze kryzysowej, ustąpić wobec mocnego związku zawodowego publiczności.



Stefan Krzywoszewski,
naczelny dyrektor teatrów miejskich w Warszawie.

Teatry warszawskie pod tym właśnie kątem zakrzątnęły się energicznie koło nowego sezonu teatralnego i nader szczęśliwie zorganizowały swoje zespoły, po raz pierwszy może od szeregu lat stworzywszy sobie indywidualne oblicza. Teatr miejski (Narodowy, Nowy, Letni) zgromadził u siebie prawie wszystkie „gwiazdy" aktorstwa polskiego, z wyjątkiem paru ledwie osób. Może grać wszystko w pierwszorzędnej obsadzie: począwszy od sztuk wielkiego repertuaru, a skończywszy na farsie. Będzie to w tym sezonie teatr popisów aktorskich i to jest jego atut główny, — reszta zależy od repertuaru. Wzmocniony w dziale reżyserskim przez Borowskiego i Ziembińskiego, może być w tym sezonie czołowym teatrem dramatycznym według starych, dobrych zasad. Na prowadzenie takiego teatru pozwala dyr. Krzywoszewskiemu subwencja, której żaden inny teatr w Warszawie nie posiada. — Teatr Polski, który przez szereg lat wysoko dzierżył sztandar szlachetnego poziomu, wobec braku subwencji nie był w stanie w obecnej konjunkturze konkurować przy angażowaniu artystów z Teatrem Miejskim. Dyr. Szyfman, jako człowiek praktyczny i trzeźwy powiedział sobie, że woli być żywym kupcem, niż poległym na polu chwały generałem. Zrezygnowawszy na bieżący sezon z



Dr. Arnold Szyfman,
dyrektor Teatru Polskiego i Małego.

wielkich zadań dramatycznych, zrobił fuzję z „Bandą" i prowadzić będzie Teatr Polski na poły muzycznie, na poły dramatycznie, zaś w Teatrze Małym — typowy kabaret literacki w najlepszem i najdodatniejszem tego słowa znaczeniu. Repertuarowo — stoją przed dyr. Szyfmanem ogromne i niewyzyskane dotychczas w Warszawie możliwości. Posiadając takich pierwszorzędnych autorów, jak Tuwim i Heinar, może pokazać „Europie" (nietylko Warszawie), prawdziwy, dobry rodzaj komedji muzycznej, a nie jakieś komedje z wkładkami muzycznemi. Może stworzyć nowy typ wodewilu, z sensem i na poziomie literackim, może przerabiać na widowiska muzyczne nawet repertuar „wielki", może wystawiać piękne, stare operetki w nowem opracowaniu tekstowem i reżyserskiem.

Penetracja kabaretu do teatru dramatycznego, która w ostatnich latach dała się w pewnym stopniu skonstatować, przez sfuzjonowanie zespołów Teatru Polskiego poszczególnych artystów „Bandy" w repertuarze dramatycznym nie jest bez uzasadnienia artystycznego, zaś występy artystów dramatycznych, jak np. Modzelewskiej, Romanównej, Maszyńskiego w kabarecie mogą zastrzyknąć tam nową energję. Pozatem reklamowo dla publiczności warszawskiej fuzja ta ma pewną pikanterję, gdyż publiczność lubi nowe coctail'e.

Pod znakiem zapytania pozostaje nowy teatr ZASP'u. Teatr ten nie posiada w zespole tak zwanych „primagwiazd", jednak jest to b. dobry zespół dramatyczny. Podstawą egzystencji tego teatru będzie duża widownia przy niskich cenach biletów. Przy obecnem zubożeniu obywatela, niskie ceny umożliwią mu częstsze chodzenie do teatru i kto wie, czy nie wciągną do zastępów publiczności teatralnych nowych rzesz, zadowalających się dotychczas kinem, ze względu na taniość biletów. Wysoka kultura teatralna kierownika literackiego tego teatru, dyr. J. Lorentowicza z jednej strony, zaś energja i zmysł praktyczny dyr. J. Pawłowskiego — z drugiej, mogą z tej placówki stworzyć b. dobry teatr „popularny", a właściwie, mówiąc dokładniej, teatr „dostępny". Tego typu teatr ma bezwzględną rację bytu i z ciekawością czeka Warszawa na jego otwarcie.

Co wyniknie z małżeństwa St. Jaracza z L. Schillerem, którzy razem prowadzić będą teatr „Ateneum", pokaże najbliższa przyszłość. Każdy z nich jest wybitną indywidualnością i dlatego też Warszawa zaciekawiona jest, czy te „Ateneum-sisters" będą potrafiły zgodnie tańczyć. Że nie będzie to teatr banalny i przeciętny — to zgóry wiadomo, chodzi tylko o to, w jaki sposób i w jakich dawkach zużytkowaiy będzie dynamit, zmagazynowany w kierownikach i w zespole.



Karol Borowski,
dyrektor Teatru Narodowego.

Powstać ma wreszcie w lokalu dawnego „Qui pro quo" teatr kameralny pod kierownictwem K. Adwentowicza. Bliższych danych narazie brak.

Trudno coś powiedzieć konkretnego o nowym sezonie opery warszawskiej, poza wymienieniem nazwisk jej kierowników: dyr. Młynarskiego, dyr. Fitelberga, dyr. Mazurkiewicza i M. Mossoczego. Nazwiska stwierdzają, iż kierownictwo opery znajduje się w fachowych i doświadczonych rękach. Czy jednak wielomiesięczna impreza operowa da sobie radę bez poważnej subwencji — powiedzieć nie można. Na całym świecie opera jest imprezą deficytową. Zwykle ratują ją występy wybitnych solistów. Najlepsze kierownictwo może chcieć, a może nie być w możności wykonania swoich zamierzeń. Życzyć należy operze warszawskiej, aby przebrnęła pomyślnie przez najeżony trudnościami sezon. A zresztą „audaces fortuna iuvat".

Z teatrów rewjowych na placu pozostało tylko „Morskie Oko". Mimo kiepskiej konjunktury, teatr ten daje sobie jakoś radę. Powodzenie swoje opiera teatr „Morskie Oko" głównie na stronie baletowej i wystawowej, oraz na lansowaniu „przebojów" piosenkarskich, i jako taki zyskał sobie duży i stały zastęp bywalców. Jest to teatr dla „publiczności od płyt gramofonowych". Dyr. Włast w każdym programie podaje publiczności jakąś atrakcyjną siłę i najczęściej potrafi zainteresować nią publiczność. W pierwszym programie nowego sezonu wystąpią m. innemi pp.: M. Zimińska, Tola Markiewiczówna, Ankwiczówna, Dymszyna, Krukowski, Igo Sym, Skonieczny, Minowicz. Zespół zgrabnie dobrany i atrakcyjny. Mam wrażenie, że i w bieżącym sezonie dyr. Włast da sobie radę.

Według mojego przekonania sezon teatralny w Warszawie zapowiada się ciekawie, a przynajmniej przetasowanie zespołów uważam za nader udane i stwarzające dla każdego teatru duże możliwości, chodzi tylko o to, aby wewnątrz teatrów ludzie się nie gryźli i nie ciągnęli każdy w swoją stronę. Postawienie słowa „teatr" ponad słowo „ja" — jest dla wielu rzeczą trudną, ale jest to koniecznem, aby osiągnąć dobre rezultaty artystyczne i... kasowe. Dotyczy to zarówno dyrektorów, jak i aktorów.

Bocz.

„WŁASNORĘCZNIE UBITE KUROPATWY".

— Czy pojedzie pan na polowanie na kuropatwy?
— Naturalnie, jest tylko jedna mała trudność...
— No jaka?
— Że nie mam ani strzelby, ani naboi, ani psa, ani żadnej rzeczy, która jego jest.
— Nic nie szkodzi, pożyczymy panu i strzelbę i naboje. Nie święci garnki tłuką, tylko... strzelcy. Jako instruktorkę zaś damy panu pannę Bubę.
— Pannę Bubę?
— Śliczna dziewczyna, strzela, niczem akademik wujka na 10 złotych. Prawdziwa Djana.

Następnego dnia, ubrany zabójczo sportowo wyjechałem na wieś, aby wziąć udział w polowaniu. Po śniadaniu ruszyliśmy w pole. Panna Buba okazała się doskonałą instruktorką.

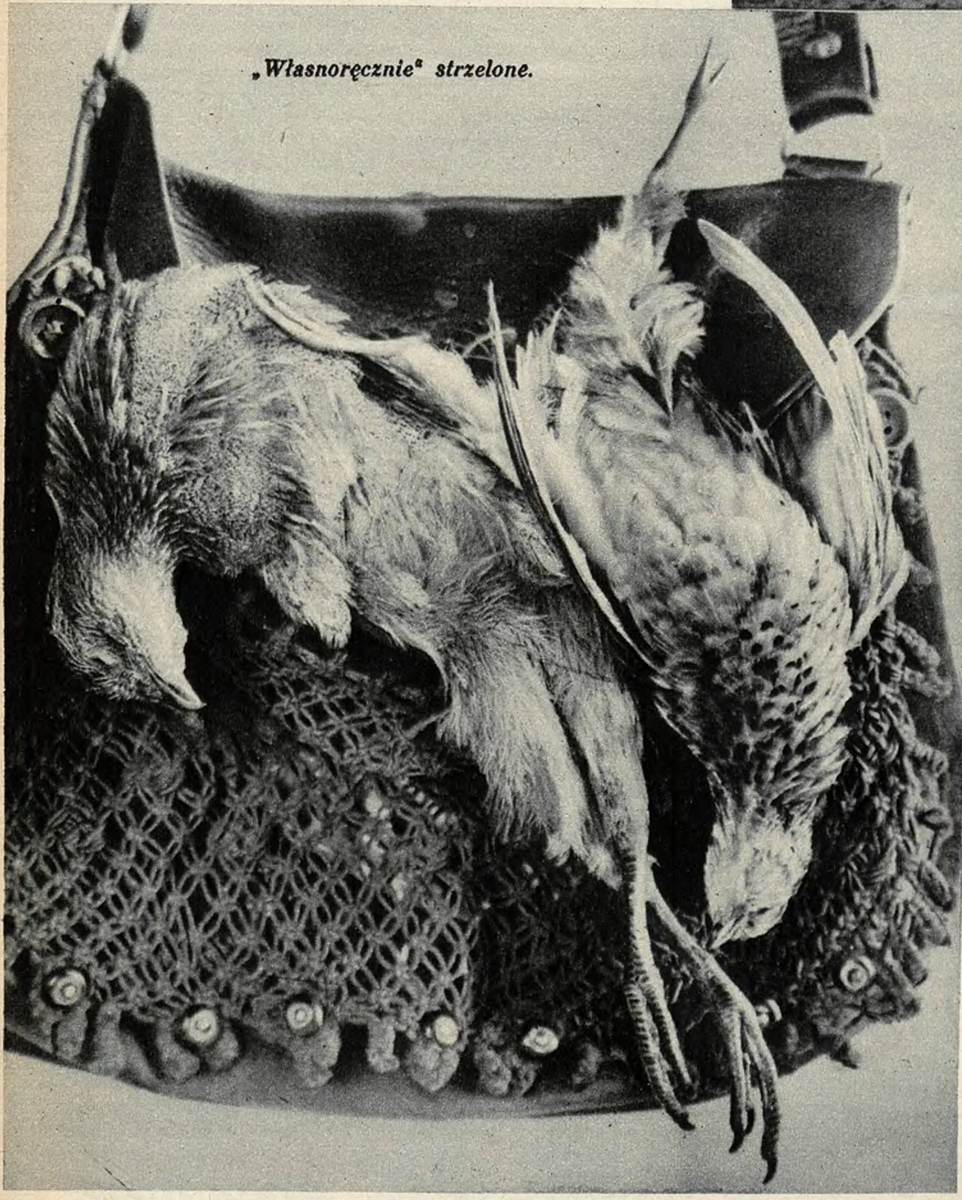
— Gdy pan zobaczy kury poprostu zmierzy się pan, strzeli i będzie pan czekał rezultatu. Jeżeli kuropatwa zostanie trafiona, to spadnie, a jeżeli nie, to poleci dalej.
— Wie pani, że to jest ogromnie proste, więc strzelać i czekać, aż spadnie.
— Przedewszystkiem zaś niech pan uważa na psa. Naprzód pies będzie szedł za wiatrem, potem przystanie, a jak mu się powie: pif, to skoczy i spłoszy kuropatwy. A pan wtedy pac-pac...
— A więc zaczynamy!

Przed nami rozciągało się olbrzymie ziemiaczysko, biegnące pod górę.

Ruszyliśmy za psem. Stosownie do instrukcyj ściskałem nerwowo strzelbę w ręku, pilnie oglądając się na wszystkie strony i nie spuszczając oka z psa. Ma się rozumieć właściciel jego przechwalał się, że jest to najpiękniejszy okaz setera na całym świecie, że wystawia wspaniale i że nie odstąpiłby go nikomu za żadne skarby świata. I widocznie nie przesadzał, bo jak słyszałem, ofiarowywano mu już za tego psa starą zapalniczkę i kilka płyt gramofonowych i dwa zaprotestowane weksle, a on mimo to nie chciał ani słyszeć o pozbyciu się swojego „Lorda".



Strzela się, a potem czeka...



„Własnoręcznie" strzelone.

Tymczasem „Lord" szedł, kręcił się, machał ogonem, ale jakoś do strzału nie przychodziło. Zaczynało mnie już to wszystko nudzić. Nagle panna Buba znieruchomiała, pies także. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że zbliża się decydująca chwila. Zdenerwowany do ostateczności podniosłem broń do oka. Co się potem stało nie wiem, dość, że ta broń wystrzeliła.

Czy ja pociągnąłem za cyngiel, czy też nabój sam wypalił (!?) tego nie wiem; wiem tylko, że na moją głowę zwaliła się burza.

— Pocóż pan do licha strzelał? — odezwał się sąsiad z prawej.
— Ależ pan niecierpliwy — zawtórowała mu panna Buba.

Zaczęła się dalsza wędrówka po kartoflisku. I trwała do południa. Zachowywałem się już teraz znacznie ostrożniej i dla wszelkiej pewności wogóle nie strzelałem. Raz kuropatwy o mało mi kapelusza nie zrzuciły. A potem przyszła najpiękniejsza chwila w tem polowaniu. Drugie śniadanie na świeżem powietrzu. Zaczęło się od wódki, a skończyło na pieczonych kartoflach. Menu obejmowała także doskonałe parówki, pieczone kurczęta i słodycze. Całkiem dosyć jak na te kryzysowe czasy. „Moja dobrze sobie pojeść", jakby powiedział murzyn z Angoli. Na ostatek panna Buba ofiarowała mi dwie własnoręcznie zastrzelone kuropatwy. Ponieważ jako zatwardziały stary kawaler nie prowadzę własnego gospodarstwa, przeto jeszcze tego samego dnia, podarowałem je swojej kuzynce(?) (dla ścisłości, to ona właściwie moją kuzynką nie jest). Kuzynka podziękowała mi uprzejmie, ale ponieważ prowadzi właśnie kurację odtłuszczającą, a kuropatwy w słonince mogłyby zniweczyć rezultat jej miesięcznej głodówki przeto szybko odesłała je — pannie Bubie, która jest jej przyjaciółką, nadmieniając w liście, że otrzymała je odemnie „znakomitego myśliwego". Reszty domyślacie się Czytelnicy. Ja zaś jestem o jedno doświadczenie bogatszy: nigdy już więcej nie będę nikomu posyłał „własnoręcznie" zastrzelonych kuropatw.

Panna Buba zaś dotąd się śmieje...

Jan Lankau.

MÓJ TRZECI FILM... WYWIAD Z KAROLINĄ LUBIEŃSKĄ BOHATERKĄ „PAŁACU NA KÓŁKACH“.



Złotowłosa gwiazda polskiego ekranu, p. Karolina Lubieńska, która kreuje główną rolę w nowym filmie p. t. „Pałac na kółkach“.



Sielanka przed „Pałacem na kółkach“.

Wnętrze wozu cyrkowego! Umeblowanie „Pałacu na kółkach“ skromne. Na niskim taborecie pod oknem, barwnie ubrana siedzi p. Buczyńska — właścicielka cyrku, obok niej nieodstępny wielbiciel jej wdzięków, cyrulik Ajzyk Rozkosznik — Kazimierz Krukowski, Lopek, popijając kwas owocowy od czasu do czasu „robi oko“ do pani swego serca, usiłując nawiązać z nią romansik. Z drugiej strony, na niskim tapczanie wypoczywa po trudach filmowania milutka, złota blondynka, gwiazda pierwszej wielkości, p. Karolina Lubieńska — w danej chwili cel mej wyprawy.

— Miłośnicy pani, a nasi czytelnicy kazali jej się kłaniać i proszą o wywiad — mówię na powitanie. Chociaż więc pani jest bardzo zmęczona, pozwoli pani jednak, że pomęczę ją jeszcze trochę.

— Ja mogę redaktora wyręczyć — wtrąca Lopek-Krukowski z przedziwnie słodką miną — i rzuca serję pytań:

— Kogo pani kocha, kto się w pani kocha, jaki jest pani ulubiony kolor, który pani nosi numer rękawiczek, za którym autorem pani przepada, jaki jest pani pogląd na kwestję przyrostu naturalnego w Polsce, i czy zwycięstwo Kusocińskiego w Ameryce...

— ...stop!!! Dziękuję za pomoc. A więc pierwsze pytanie. Kogo...

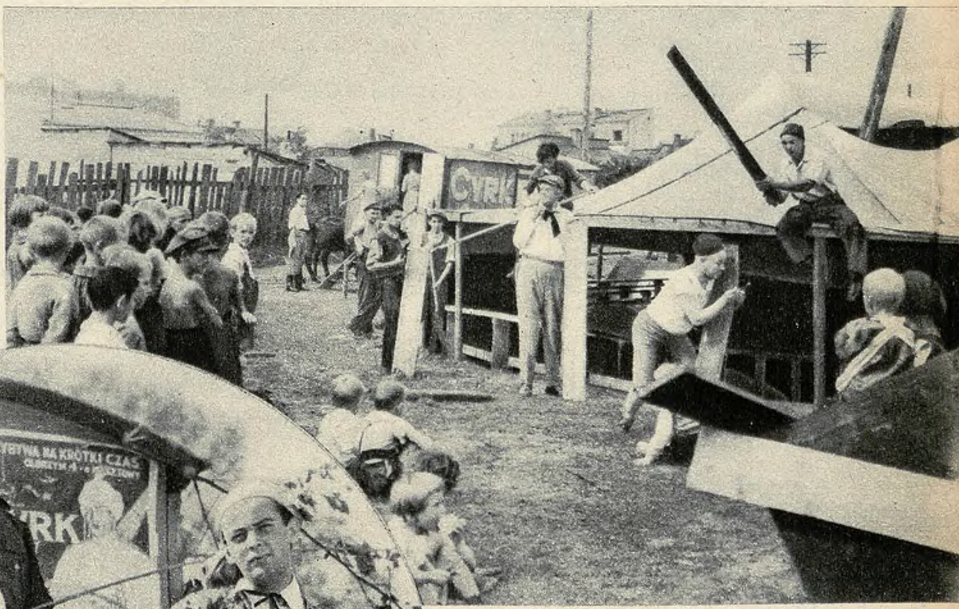
— ...nie mówiłem! — wtrąca się znów Krukowski. — Kogo pani kocha?

— Pan będzie łaskaw w międzyczasie powzdychać sobie do swej bohdanki, a my sobie porozmawiamy...

— ...o rzeczach bardziej poważnych, ja rozumiem — dodaje Ajzyk Rozkosznik z wymownym gestem, poczem odwraca się i rzuca piorunujące spojrzenie w kierunku okna, gdzie najspokojnie w świecie zdradza go „najdroższa“ z „kimś z ulicy“.

* * *

— „Pałac na kółkach“, to mój trzeci film — zaczyna p. Karolina Lubieńska. — Przypomina pan sobie, rok temu rozmawialiśmy na podobny temat. Pracowałam wtedy również z p. Ryszardem Ordyńskim. Debiutowałam w filmie „10 z Pawiaka“. Po tym pierwszym filmie, wypoczywałam jakiś czas, miałam sporo zajęcia w teatrze, nie było więc mowy o drugim filmie. Dopiero w tym roku zabrałam się solidnie do tej pracy. „Pałac na kółkach“ to mój drugi film w tym roku, a trzeci wogóle. Kręciłam w „Ostatniej eskapadzie“, Serafinowicza. Teraz zaś od rana do nocy pracuję znów u mistrza, i jak panu zapewne już wiadomo, gram główną rolę kobiecą, mianowicie rolę gwiazdy cyrku, Fioretty, w jego najnowszym dźwiękowcu pt. „Pałac na kółkach“, wg. powieści Kossowskiego „Cyrk“.



Jedna ze scen nowego filmu p. t. „Pałac na kółkach“, który reżyseruje R. Ordyński.



Bohaterzy nowego filmu od lewej: Lubieńska, jako cyrkówka, Zelwerowicz, jako właściciel cyrku i Zbyszko Sawan, jako woltyżer.

— Zechce mi pani łaskawie wyjaśnić, jak pani może pogodzić pracę filmową z pracą sceniczną, kiedy pani sypia naprzykład?

— Jakoś sobie daję radę. Sypiam wprawdzie tylko pięć do sześciu godzin dziennie, bo od 1 do 6, o wpół do siódmej mam już telefon z wytwórni. Trzeba korzystać ze słonecznej pogody, więc też do piątej, a może szóstej po południu jestem na zdjęciach. Potem wpadam do domu, kąpię się, zjadam obiad i trzeba spieszyć do teatru. Przedstawienie kończy się o godz. 11, z minutami, nim przyjdę do domu i zjem coś, jest wpół do pierwszej, zasypiam o pierwszej i znów o szóstej rano wstaję. Nie chce się wprawdzie, takby sobie człowiek chętnie pospał, ale trudno, trzeba!

Piękna pani Lala mówi to z tak rozkosznie malującą się na jej twarzy rozpaczą, że aż za serce chwyta.

— Ale za to teraz może pani wypocząć z godzinkę, tu w „Pałacu na kółkach“, w ciszy, chłodzie...

— Pani Lubieńska!!! Pani Lubieńska!! Zdjęcia!!, gdzie jest pani Lubieńska?!!

Przez półuchylone drzwi wozu wsuwa się najpierw słomkowy kapelusz, a następnie głowa jego właściciela, Lopka-Krukowskiego.

— „Azali nie przeszkadzam państwu“? — rzuca z przesadnie słodką miną.

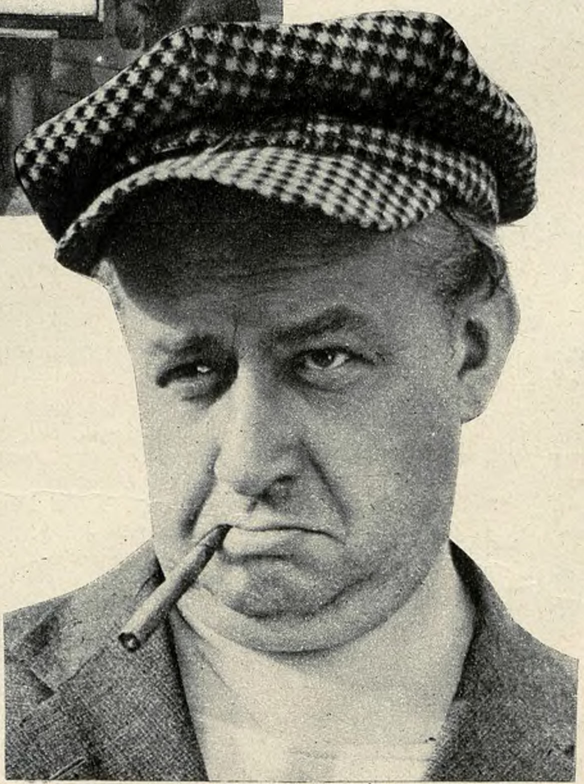
— Bynajmniej, prosimy.

— Pani jest proszona...

— Widzi pan, jak mogę wypocząć!

Mój Boże, ciężki żywot ma taka gwiazda filmowa. A wszystkim się zdaje, że to takie szczęście.

B. Si.



Znakomity artysta Zelwerowicz w roli właściciela cyrku.

Z NAD CZEREMOSZU.



Spław drzewa na Czeremoszu. (Województwo stanisławowskie).

Długa i nużąca wędrówka ukończona.

Po przejściu pasma Czarnohorskiego zeszliśmy na nocleg w dolinę Czeremoszu.

Nazajutrz zaledwie dnieć poczynało, gdy z twardego snu zbudził nas mocniejszy szum i huk wody, rozbryzgującej się o skały. Gdzieś w górze *klauzy* zostały otworzone i masy wody runęły w dolinę.

Czeremosz pienił się i rósł w oczach. Przybierająca fala uciekała ze zwiększoną szybkością, wypełniała koryto, pokrywała wystające głazy, pieniła się i mknęła ku północy.

Przy brzegu trzeszczały trąc się o siebie zbite pomosty długich belek wyciągnięte w sznur.

To tratwy, które Huculi nazywają *darabami* czekają, aż umiejętnie pokierowane, zaczną spływać ku równinom. Koło nich uwijali się flisacy, przygotowując się do przeprawy.

Drzewo z olbrzymich obszarów leśnych, należących do skarbu państwa, fundacji hr. Skarbka i hr. Baworowskiego jest spławiane wodą na niziny z wysokich, niedostępnych gór. Ponieważ spławianie jest możliwe tylko przy odpowiednio wysokim stanie wody, przeto zbudowano w górach ogromne śluzy, zwane klauzami, które zamykają zbiorniki z wodą. Po otwarciu śluzy woda spływa gwałtownie i podnosi poziom Czeremoszu.

Teraz Huculi przystępują do pracy.

Dla przygodnych amatorów tej jazdy robią Huculi rodzaj wyższego siedzenia na pierwszej tratwie. Sami natomiast przypinają sobie do butów ostre haki i stoją przez cały czas na śliskich belkach w bryzgach piany i wody przelewającej się co chwila przy zanurzaniu się tratwy.

Koryto Czeremoszu ryte od wieków w skałach jest bardzo nierówne. Wądoły i głębsze miejsca przegradzane są skalnymi progami, tworzącymi fantastyczne porohy i wodospady.

Jazda tratwami jest bardzo niebezpieczna. Niebezpieczeństwo polega na tem, że tratwy, pędzące z dużą szybkością rozbijają się nieraz o wspomniane porohy, lub wpadają na nadbrzeżne skały, przy nagłych zakrętach, przyczem dalsze człony spławu zrywając liny, walą się na pierwsze siłą bezwładności. Takie *zahaty*, t. j. zatory z drzewa grożą rozbiciem dalszym nadpływającym tratwom. To też obowiązkiem zatrzymanych flisaków jest uprzedzić zdaleka płynące spławy o grożącem niebezpieczeństwie.

• • •

Dzień już się zrobił i wstające słońce zaróżowiło po górach wierzchołki smreków, gdy pierwsze tratwy ruszyły.

Siadamy i za chwilę zaczyna nas woda unosić. Ze wzrastającą szybkością mijamy czarne ściany lasów, wznoszących się po obu stronach rzeki. Orzeźwiający powiew chłodnego poranku wionie rozpyloną pianą w nasze twarze. Za zakrętem otwiera się nagle widok na zasłonięte dotąd góry, z nad których wita nas słońce złotymi promieniami. Wzburzone fale błyszczą roztopionem srebrem, a zimne bryzgi lśnią i migocą tysiącami kropel.

Dolina rozszerza się, ukazując malowniczo rozłożone po stokach chaty huculskie, z których dolatuje głos dzwonków wypędzanego bydła.

Za chwilę zmienia się widok.

Wpadamy w ciasny wąwóz. Spienione wody hucząc, jak grzmot, odbijany echem od prostopadłych urwisk skalnych, uderzają z wściekłością w potężne bloki piaskowca i rzucają się nagle szumiącym wodospadem z kamiennego progu.

Nagłe wstrząsy rzucają tratwami.

Trzeszczą ogromne kloce drzewa, uderzając z rozpędem o podwodne głazy, przód tratwy zanurza się, białe strugi pieniąc się, zalewają belki. Przelatujemy w bryzgach piany nad skalnym uskokiem.

Po chwili pęd wody łagodnieje, kamienne łożysko wygładza się, rozlewające się wody tworzą niespodzianie ciche lazurowe roztocza, nęcące oko swą szmaragdową głębią. Takie miejsca za bystrym prądem to ulubione stanowiska głowacicy, królewskiej ryby Czeremosza.



Podój owiec na hali na Huculszczyźnie.

Drogą wijącą się nad brzegiem jadą wierzchem na małych, zgrabnych konikach Huculi, wioząc bryndzę z połonin. Kobiety i mężczyzni w swych barwnych i jaskrawych strojach malowniczo rysują się na tle jasnej zieleni łąk i ciemnych lasów.

Zbliżamy się do Żabiego, stolicy Huculszczyzny i największej wsi w Małopolsce, która swymi przysiółkami rozsiadła się na ogromnej przestrzeni 602 kilometrów kwadratowych, gdzie się zatrzymujemy.

Po krótkiej przerwie ruszamy dalej.

I znowu natura, ten nieporównany artysta rozwija przed nami nowe obrazy malowane życiem gór. Za nami na widnokręgu sinieje i blednie coraz bardziej pasmo Czarnohorskie, górujące masywem swego grzbietu nad bliższymi wierchami.

W pewnym momencie zatrzymują nas głosy Hucułów, ostrzegających z brzegu, że *zahata* z tratw płynących na przodzie utworzyła się przed nami. Flisacy zręcznie kierują spławem do brzegu i czekamy, aż zapora zostanie usunięta.

Korzystając z przerwy, obserwujemy taflę kryształowej wody, która tu tworzy spokojniejsze zatoczki. Gromadki drobnych rybek uwijają się w rozjaśnionej południowem słońcem toni i znikają w głębi przy najlżejszym ruchu. Żar leje się z nieba, przyroda zdaje się drzemać, tylko woda nie odpoczywa niezmordowanie dążąc ku dołowi.



Hucułka z Żabiego.

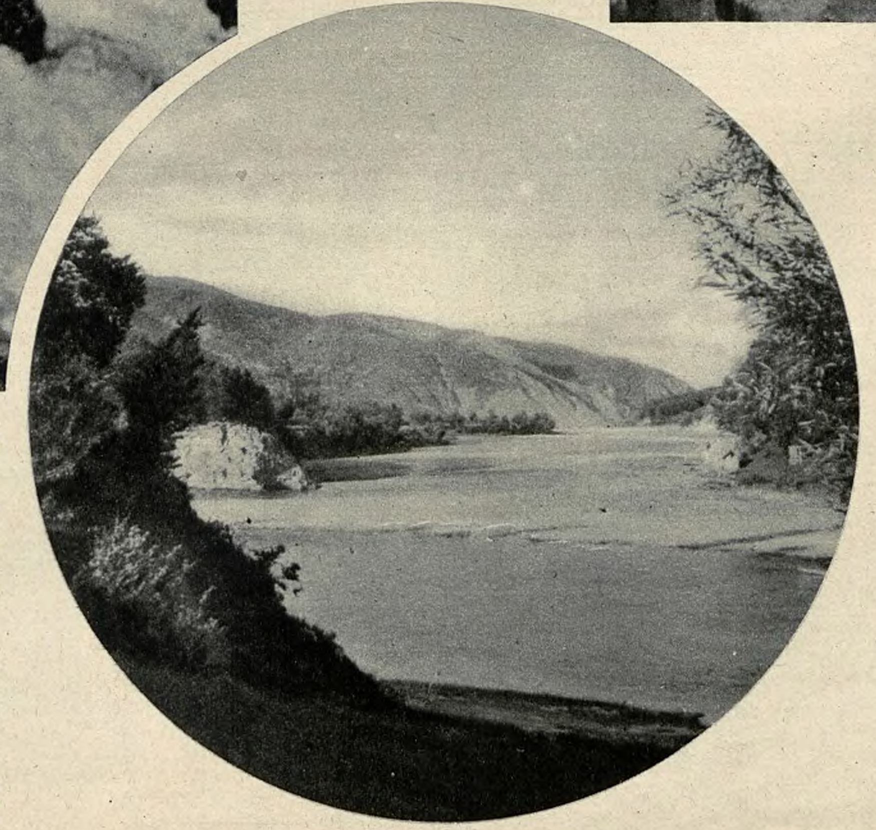
W Uścierykach Czeremosz Czarny łączy swe wody z Białym Czeremoszem i odtąd płyniemy granicą Polski i Rumunji. Zbliża się jeszcze jeden nagły zakręt przed Tudiowem, nad którym wznosi się dwustumetrowa ściana, prostopadle do wody spadająca skała, zwana Sokulski. Masy wodne biją tu w twardą opokę i odwrócone staczają się burzliwym wodospadem.

Mijamy to najniebezpieczniejsze miejsce z całej przeprawy, gdzie siła prądu nieraz rzuca tratwy o skały, powodując ich rozbicie. Huculi opowiadają, że pod Sokulskim w ciągu wieków kilkaset ofiar pochłonął wartki prąd Czeremosza.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy zbliżaliśmy się do Kut.

Z gasnącym dniem kończyła się nasza urocza wędrówka i czekał nas powrót w równiny do szarego, codziennego życia.

Stanisław Leo.



Czeremosz pod Tudiowem.

W PAŃSTWIE LALEK.



Główka lalki w stroju alzackim.

Zjechał do Krakowa tłum lalek, wyszedł z drewnianych pak i rozgościł się w Miejskiej Hali Wystawowej. Infantki, markizy, paziowie, pierroty, strojne damy z różnych czasów i ludów od Japonji po Gibraltar i Przylądek Dobrej Nadziei. Zawitał tu Lon Chaney w roli Dzwonnika z Notre Dame, Józefina Baker, strzeliste postaci z portalu katedry w Chartres, demoniczny ksiądz z Montmartre'u, tancerki maharadży, sympatyczny ludek z Tysiąca i jednej nocy, kubistyczni sportowcy, a nadewszystko imponujący kwiecistością barw lud wszystkich departamentów Francji i wszystkich ważniejszych ziem Polski. Skąd wziął się ten tłum, któremu towarzyszy aż 600 maskotek, talizmanów ludzi cywilizowanych?

Zrodziły się te lalki w Paryżu z początkiem wojny. W długie rodaków rozmowy na wieczorach u córki Władysława Mickiewicza, Marji, a wnuczki naszego wieszcza, marzono o zatrudnieniu młodych artystów, którym wojna odcięła możność powrotu do rodzinnego kraju, a brak środków pogrążył w odmęt nędzy. Marzono o wielkiej wytwórni, wielkich handlowych obrotach i wyrugowaniu międzynarodowej tandety z domów i rynków. Artyści mieli zająć się projektowaniem lalek, inni zaś członkowie i członkinie zrzeszenia — wykonaniem, reklamą i rozsprzedażą. Tym sposobem bezrobotna inteligencja polska, rzucona na bruk paryski czasu wojny, miała swą pracą zarobić na chleb. Duszą całej inicjatywy była p. Stefanja Łazarska, aż dziw, że wszystkie projekty wcielono w czyn. Co więcej, rezultaty przeszły nawet najśmielsze oczekiwania. Oto co może talent i wola ujęta w karby dobrej organizacji!

Lalki p. Łazarskiej wiodą prym na różnych wystawach; rosną całe sterty entuzjastycznych artykułów w prasie. Już w pierwszych latach rozwinięcia tego rodzaju przemysłu artystycznego pokusiły się nasze artystki o palmę pierwszeństwa w dziedzinie produkcji artystycznych lalek. I tutaj szczęście sprzyjało. Jedna z młodych artystek, p. Nina Aleksandrowiczówna otrzymuje złoty medal na konkursie lalki francuskiej, zorganizowanym przez p. Poincare. Nasze Kasie, Marysie, Jasie, Stasie i Wojtusie weszły odtąd w modę. W sukurs zaś modzie przyszedł nieszkodliwy, owszem bardzo z handlowego stanowiska potrzebny — zabobon. Jakiś Wojtuś w kostjumie Krakowiaka „uratował" pewnej rodzinie francuskiej życie podczas tonięcia okrętu, jakaś Kasia z pyzatą buzią i w łowickiej kiecce „uratowała" pewnego lotnika od śmierci podczas katastrofy samolotowej. Specjalne laleczki otaczały swą opieką automobilistów, broniły domów od nieprzyjacielskich pocisków, a żołnierzy od śmiercionośnych gazów. Inne znów, okazalsze, grały rolę noworocznych podarków, wręczanych znajomym podczas składania życzeń. Bawiący w Paryżu Lindbergh, Chaplin, księżniczka belgijska, małżonka włoskiego następcy tronu, otrzymują w darze polską lalkę. Znalazły się nawet towarzystwa filmowe, które przed objektywem kinooperatora z lalek tych robiły aktorów.

Gdy wojna skończyła się, lalki ratując artystów polskich od głodu, spełniły już swoje zadanie. Właścicielka zaś wytwórni paryskiej, p. Stefanja Łazarska uznała za stosowne przywieźć cały olbrzymi zbiór lalek do Polski, by tutaj w wielkodusznym geście ofiarować dorobek swej intensywnej pracy Muzeum Etnograficznemu na Wawelu. Czyn p. Łazarskiej Kraków z pewnością godnie uszanować potrafi. **T. S.**



Grupa lalek p. Łazarskiej z wystawy krakowskiej.

O MĄDRYM KUBIE —
ZE SCHRONISKA W ROZTOCE, W TATRACH.



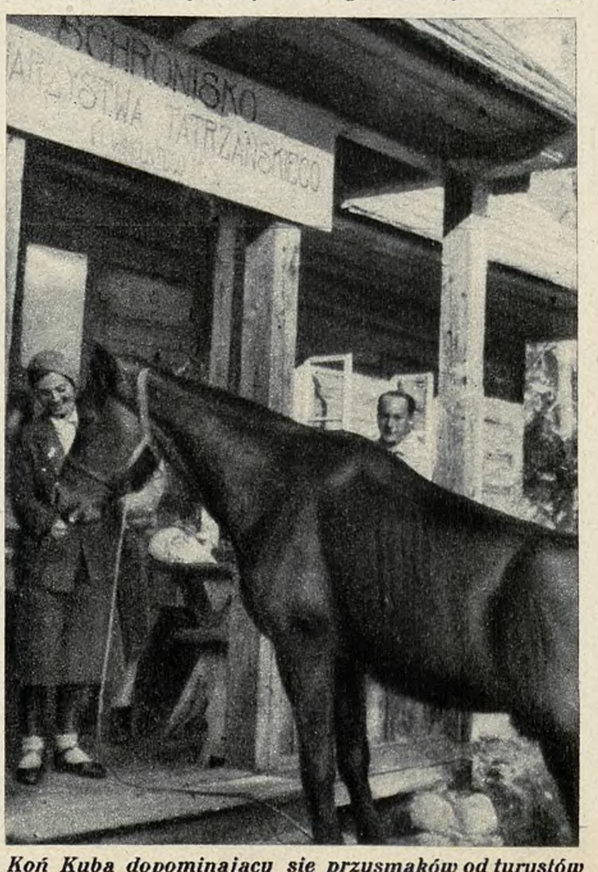
Schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Dolinie Roztoki w Tatrach. W dali na lewo Gierlach, obok grupa Młynarza.

Tuż obok Wodogrzmotów Mickiewicza, na drodze Zakopane—Morskie Oko, w odległości 500 m. od mostu, wznosi się skromne schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Dolinie Roztoki. Pierwotnie biegła tędy droga do Morskiego Oka, później jednak poprowadzono ją innym, dzisiejszym szlakiem, tak, że schronisko pozostało na odludziu. Przed kilkudziesięciu jednak laty, pragnąc dostać się do Morskiego Oka, dojeżdżało się do schroniska w Roztoce, a następnie szło się już piechotą.

Dolina Roztoki należy do najpiękniejszych w Tatrach. Rzeka Białka, która przez nią przepływa, stanowi tu granicę polsko-czechosłowacką. Ze schroniska roztacza się wspaniały widok na Tatry, a przedewszystkiem na Gierlach i grupę Młynarza. W lecie i w jesieni jest tu takie mnóstwo malin i borówek, że możnaby niemi zaprowiantować Kraków i Warszawę. Bardzo często na wycieczkach spotyka się sarny i jelenie. — Osobliwością schroniska w Roztoce jest koń, Kuba. Przywędrował on na Podhale z nizin i szybko tu zaaklimatyzował się. Dwa lub trzy razy w tygodniu odbywa on drogę z wózkiem do Zakopanego po prowianty. W wolnych zaś chwilach od zajęcia spaceruje sobie koło schroniska, wyczekując gości. Gdy zaś pojawią się, Kuba natychmiast podchodzi do nich, czekając na chleb lub cukier, za któremi przepada. Czasami jest tak natrętny, że nawet po schodach wchodzi do sali jadalnej. Naturalnie wszyscy lubią Kubę i nikt mu smakołyków nie odmawia. Jeszcze większym spryciarzem był inny koń, który przez lata całe chował się w pobliżu Wodogrzmotów Mickiewicza i nosił prowianty do schroniska przy Pięciu Stawach. Należał on do górala Bigosa z Bukowiny. Bigos niewiele troszczył się o swego konia, i w lecie ani go nie zamykał w stajni, ani też nie dawał mu żadnej strawy, tak, że koń ten musiał żyć własnym przemysłem. Ale odwdzięczał się też skąpemu gaździe pięknem za nadobne. Za nic w świecie nie chciał bowiem imać się żadnej ciężkiej pracy, t. zn. ani iść za pługiem, ani ciągnąć wózka, godząc się jedynie na noszenie worków z żywnością. Bigos więc ładował na niego prowianty przy Wodogrzmotach Mickiewicza, a przyuczony koń szedł już potem sam wertepami, aż do Siklawy. Wiedział bowiem, że za taki spacer otrzyma wiązkę siana, po zjedzeniu którego znikał znowu jak duch puszczy, w okolicznych lasach, aby za kilka dni znowu pojawić się na moście. — Ale, że wszystko ma swój koniec, więc i Bigos sprzedał nareszcie swego rumaka do Bukowiny, zachwalając, że jestto najpracowitszy koń na całem Podhalu. Nie potrzeba dodawać, że kto kupił tego pracowitego konia, wsiąkł, co się zowie. **L**



Karmniki dla jeleni w pobliżu schroniska w Roztoce.



Koń Kuba dopominający się przysmaków od turystów ze schroniska. *Fot. Sabała*

SOWIECKI BUT NA KOZACKIEJ PAPASZE.



Kozak Aleksander Semljanuchin, którego owacyjnie witano w Anglji w 1814 roku, jako oswobodziciela Europy(!) i przedstawiciela armji, która pokonała Napoleona.

Potrzeba było długich wieków, zanim olbrzymia przestrzeń między Dnieprem a stepami środkowo-azjatyckiemi wypełniła się na tyle ludnością„ iżby mogła być ujętą w organizację państwową. Pomiędzy tworzącemi się i narastająsemi młodemi państwami z ich granicami płynnemi i gubiącemi się w pustce, leżały ogromne przestrzenie całkowicie próżne, bezpańskie„ niejako międzypaństwowe.

W miarę, jak w centrach tworzących się państw krzepła władza i twardniało prawo, oporne tej władzy i prawu niechętne elementy ludności wyciskały się niejako w te właśnie próżnie międzypaństwowe. Było ich wiele. Ale największe o znaczeniu historycznem istniały dwie — nad dolnym Dnieprem„ poniżej jego Porohów, stąd „Zaporożem“ zwana i nad Donem u stóp Kaukazu i na progu stepów azjatyckich zarazem.

Obie te wielkie próżnie wypełniła zczasem dziwaczna mieszanina tej właśnie prawu i porzędkowi państwowemu opornej ludności, która tutaj daleko poza sferą dosięgalności dla jakichkolwiek organów uporządkowanej władzy„ cieszyła się nadal nieograniczoną swobodą i życiem pełnem romantyki zbójecko-rycerskiej. Mieszaniny te nazwane zostały „kozactwem“ od wyrazu tursko-tatarskiego „gozak“ lub „guzak‘, co się na turecki jako rozbójnik, a na tatarski szlachetniej — jako wojownik tłumaczy.

Nazwa ściśle odpowiadała treści. Kozacy byli i rozbójnikami i wojownikami zarazem, których punktem honoru było ciągnąć intratę tylko z wojny i wogóle krwawego dzieła, a broń Boże nie z handlu, rzemiosła lub zgoła z rolnictwa, które to zajęcia wszyscy rasowi kozacy mieli w bezgranicznej pogardzie. Dość powiedzieć, że jeszcze do połowy ośmnastego wieku kozak doński był karany śmiercią za zajmowanie się rolnictwem. Wojna tylko i rozbój były dozwolone godności kozackiej, a w braku sposobności do zapolowania na ludzi, jeszcze tylko zwyczajne łowy w stepach i kniejach, lub rybactwo na rzekach.

Oba wielkie słowiańskie państwa, które w ciągu drugiego tysiąclecia ery chrześcijańskiej wypełniły nizinę sarmacką, miały swoje kozactwo. Kozactwo zaporoskie — dnieprowe, znajdowało się w sferze polskiej władzy państwowej. Kozactwo dońskie już w wieku szesnastym zaczęło stopniowo tracić swoją pierwotnie całkowitą niezależność na rzecz rosnącej Moskwy. Ale gdy despotja rosyjska umiała stopniowa nietylko opanować i upaństwowić kozactwo dońskie, lecz nawet uczynić je z czasem jednem z głównych narzędzi swej siły i potęgi, to starej Rzplitej szlacheckiej zabrakło niestety tego rozumu stanu, który był potrzebny, aby kozactwo zaporoskie stało się jej podporą. Zamiast tego, stało się ono jej najgroźniejszym wrogiem i jednym z głównych czynników jej upadku.

W historji Rosji kozacy odegrali ogromną rolę. Moskwa carska miewała z niesfornem tem towarzystwem stale mnóstwo kłopotów, ale też i pożytek, jaki jej ono przynosiło, bywał ogromny. Kozacy zdobyli dla Rosji w ciągu jednego stulecia przeszło całą Syberję, docierając aż do wybrzeży Oceanu Spokojnego. Kozacy byli główną siłą Rosji, dzięki której opanowała ona stopniowo niedostępny Kaukaz z jego wolność miłującemi ludami, a zaraz potem zawładnęła olbrzymiemi przestrzeniami środkowej Azji.

Kozacy Dońscy, a po nich kilkanaście innych ich odmian i gatunków, tworzonych na podobieństwo tamtych najstarszych i autentycznych, aż do upadku caratu posiadali własny statut socjalny, gospodarczy i kulturalny, którego zazdrośnie pilnowali, a władza carska strzegła się naruszać. Od 18 do 28 roku życia każdy kozak był obowiązany do służby wojskowej i to zarówno regularnej, odbywanej w tym okresie trzykrotnie, pierwszy raz trzy lata, a potem kolejno znowu po półtora roku, jak doraźnej na skutek mobilizacji. Do służby zjawiał się kozak na własnym koniu, we własnem przepisowem ubraniu i z własną bronią ręczną. Tylko większej i cięższej machiny wojennej, jak armat, a później karabinów maszynowych dostarczał mu ogólnorosyjski skarb wojskowy. W marszach, pochodach, nieraz tysiące kilometrów wynoszących, i na wojnie wojsko kozackie nie miało trenu. Było więc niejako organizacyjnie skazane na rabunek i na wypatrywanie, gdzie się wogóle coś do zrabowania przydatnego znajduje.

Kampanję napoleońską w roku 1812, szczególniej część jej drugą od spalenia Moskwy do odwrotu Napoleona ku Berezynie w trzech czwartych przeprowadzili właśnie kozacy. Dziewięćdziesiąt tysięcy ich szabel, skupionych w sześćdziesięciu pułkach Płatowa, stanowiły tę najcięższą plagę„ która obok mrozu i głodu zniszczyła największą armję napoleońską.

Bezpośrednio przed wojną Rosja liczyła sobie około czterystu tysięcy szabel kozackich, ujętych w różne armje i korpusy konne. Długoletnia służba policyjna, którą pełniły wojska kozackie jako najwierniejsze w czasie pierwszej rewolucji i po niej, potem okopowy charakter wojny światowej„ przy którym wszelka kawalerja wogóle straciła praktyczne znaczenie, zdemoralizowało kazoctwo, które utraciło swego tradycyjnego ducha, a stopniowo przejęło się psychiką tej czerni chłpskiej, która stanowiła główną masę linjowych wojsk rosyjskich.

To też, gdy wybuchła rewolucja, wojska kozackie naogół zawiodły. Robiły chytrą politykę, zgłaszały swoją neutralność wobec wszelkich stron walczących, kiedy zaś wreszcie poszczególnym dowódzcom kozackim, jak generałowi Kaledinowi, Dutowowi, Krasnowowi i innym udało się porwać część wojsk kozackich za sobą przeciw bolszewikom, było już z reguły zapóźno. Niemniej jednak w całej wojnie domowej i we wszystkich armjach białych element kozącki przedstawiał się stosunkowo najzdrowiej i zachowywał się najlepiej.

Po zakończonej zwycięstwem bolszewików wojnie domowej i interwencyjnej„ kozacy,jako organizacja wojskowa, przestali istnieć. Zostali faktycznie zdegradowani na poziom zwyczajnych chłopów, których zkolei wzięła władza bolszewicka pod swoją prasę kolektywizacyjną. Teraz zaś przed kilku tygodniami Sownorkom moskiewski osobnym dekretem zniósł nawet samą nazwę „kozak“ i „kozactwo“ zakazując jej używać w jakichkolwiek związkach i celach.

Przestawszy istnieć, jako zjawisko historyczne, kozactwo rosyjskie przestaje teraz być nawet wspomnieniem dozwolonem i tolerowanem. Już nie poszczególne zdania lub karty, ale całe grube tomy usiłują bolszewicy wyrzucić z historji rosyjskiej. Wiele z tych usiłowań spełznie na niczem, ale zniesienie kozactwa uda się im z pewnością. Zbyt wielkim bowiem było ono anachronizmem i zbyt śmiesznie wyglądałby dzisiaj kozak z nahajem w dłoni na małym swoim włochatym koniku„ postawiony na tło nieskończonych kolumn traktorów i czołgów, wyruszających czy to na orkę, czy na nowoczesną wojnę...

Pom.



W czasie wojny światowej Kozacy zawiedli zupełnie pokładane w nich nadzieje, i to zarówno w służbie wywiadowczej, jak i w ataku. — Ne zdjęciu fragment walk pomiędzy Kozakami a ułanami austrjackimi w jesieni 1914 roku, pod Wieliczką wedle współczesnego rysunku.



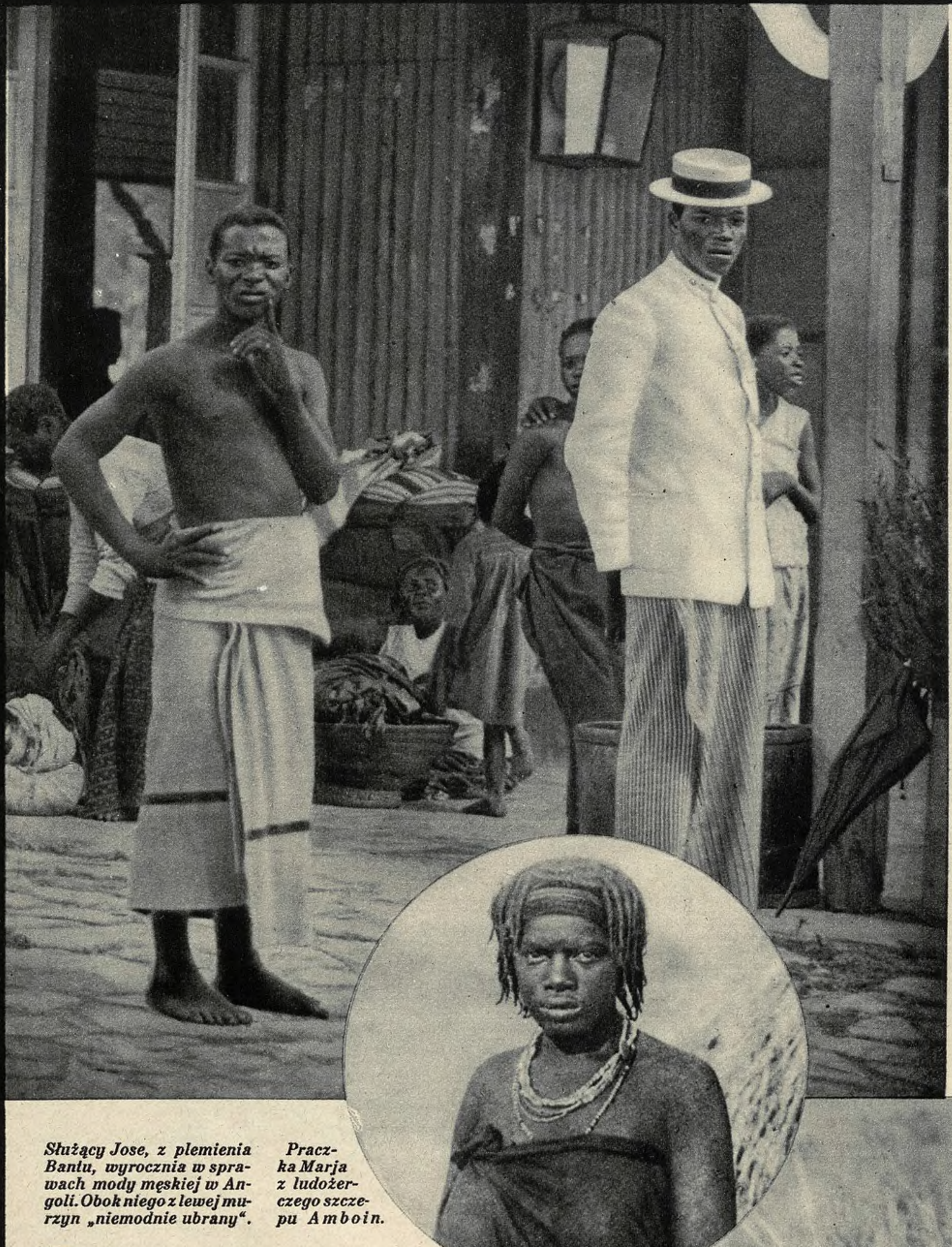
Generał Jakób Bakłanoff, dowódca Kozaków, zdobywca Kaukazu.



Stary Kozak uczący kosić swego wnuka.

WSPOMNIENIA Z ANGOLI.

— „PRAWDZIWIE ELEGANCKA CZARNA CHŁOPCA NIE NOSIĆ UBRANIA, CO BYĆ ZROBIONE Z WORKI OD KAWY“.



Służący Jose, z plemienia Bantu, wyrocznia w sprawach mody męskiej w Angoli. Obok niego z lewej murzyn „niemodnie ubrany“.

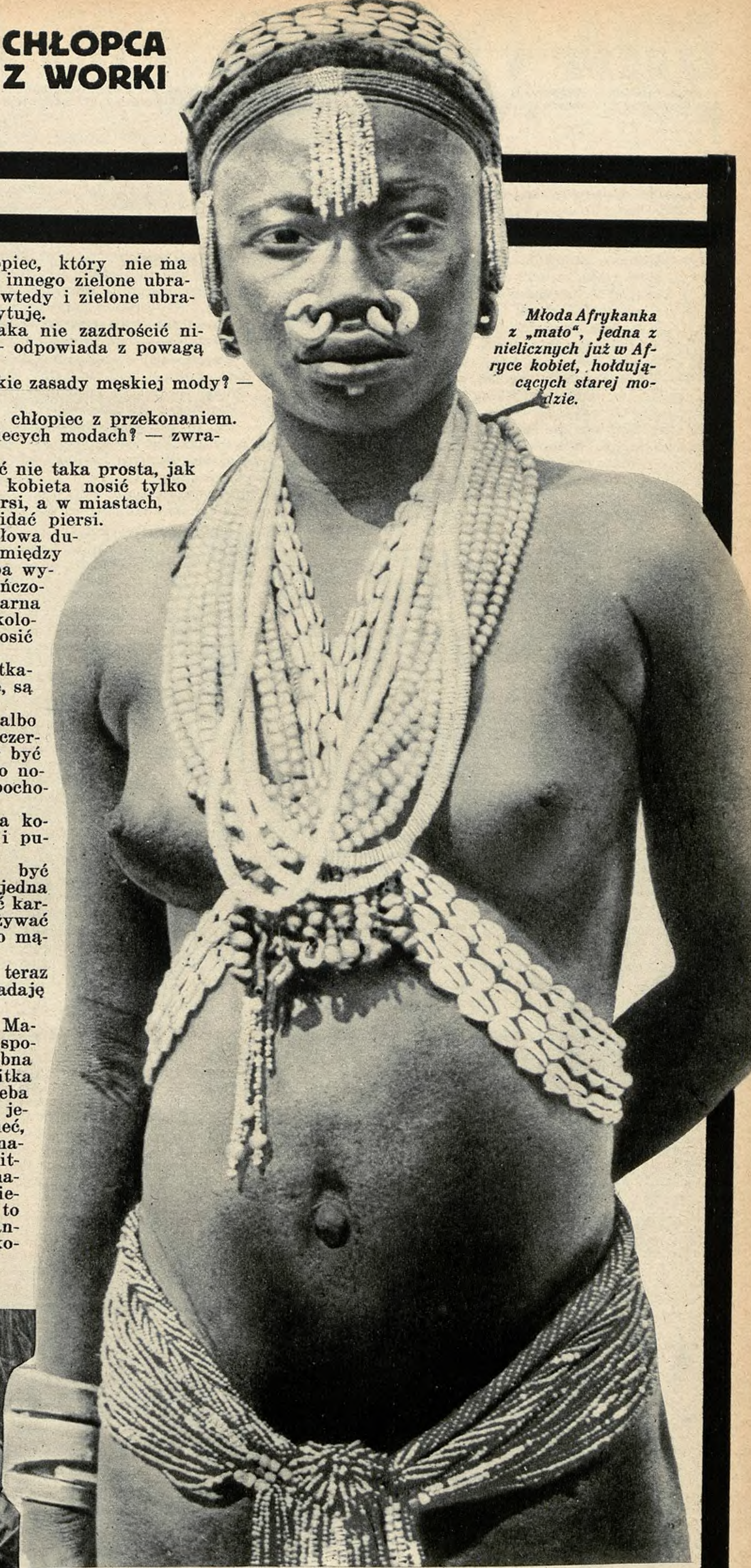
Praczka Marja z ludożerczego szczepu Amboin.



Najmilszem zajęciem brata Marji było polowanie na lwy. Wołał on bowiem siedzieć bezczynnie w „mało“, niż iść na służbę do białych, mawiając: „moja nie chcieć pracować bardzo, za bardzo“.



Kacyk murzyński z Angoli w otoczeniu swego dworu.



Młoda Afrykanka z „mało“, jedna z nielicznych już w Afryce kobiet, hołdujących starej modzie.

Podróżnik czy kolonista, świeżo przybyły do jednej z dzikich kolonij afrykańskich, nie zdołał stwierdzić odrazu, że na skromne szaty i upiększenia czarnych mieszkańców nałożyła już swą pieczęć wszechwładna i zachłanna moda.

Lecz wystarczy pomieszkać kilka miesięcy w jakiemś Kongo Belgijskiem, Rodezji, czy w Angoli, by się przekonać, że moda przestała już zadawalniać się panowaniem w cywilizowanych krajach Europy i Ameryki. Przeszła więc przez niezmierzone stepy Azji, poprzez Australję, liczne wyspy Oceanji, aż dotarła do serca Afryki i zamieszkała wśród półnagich czarnych dzikusów. I święci tam dzisiaj swoje triumfy.

Los sprawił, na moje nieszczęście, że w małem miasteczku Lobito, w portugalskiej kolonji Angoli, wyżej wspomniana moda wybrała jako reprezentantów swych, dwoje ze służby mojej: głównego lokaja Jose i praczkę Marję. Już same imiona dowodzą zamiłowania tej pary murzynów do mody: w Afryce imiona chrześcijańskie są dziś bardzo modne. Kto wie, czy nie dlatego właśnie Jose i Marja, bez większego sprzeciwu, dali skłonić się księdzu misjonarzowi do przyjęcia religji chrześcijańskiej.

Chociaż przyjąłem ich do pracy niezależnie jedno od drugiego i wiem, że zapoznali się ze sobą dopiero w mojem osiedlu, (Jose pochodził ze spokojnego plemienia Bantu, a Marja z ludożerczego szczepu Amboim), odrazu rzuciły mi się w oczy liczne wspólne cechy charakteru praczki i lokaja. Przedewszystkiem i ona i on byli niezrównanemi, genjalnemi wprost leniuchami. Gdyby nie ciężka, (jak na stosunki afrykańskie), praca trzech pomocników mojego lokaja, wiem, że mój namiot nie byłby nigdy sprzątany, łóżko stałoby niezasłane i nigdy nie ujrzałbym płonącego wesoło ogniska i gotującej się nad nim strawy. Musiałbym robić wszystko sam, lub też umarłbym z głodu. Co się zaś tyczy prania bielizny, to łatwiejby było dopatrzeć się wyrazu histerji na spokojnem obliczu Sfinksa, niż niepokoju, lub zakłopotania na czarnej twarzyczce Marji, gdy nie mając do włożenia czystej koszuli, pokazywałem jej całe zwały brudnej bielizny.

— Ona się być brudzić ta bielizna prędko — zaprędko! — oświadczała mi spokojnie, przymierzając przed krzywem lusterkiem jakieś nowe kolczyki, ofiarowane jej przez Josego z mojej kolekcji wzorów.

— Dlaczego nie wypędziłem tej pary darmozjadów natychmiast? — zapyta każdy.

Może dlatego, że przyzwyczaiłem się bardzo do nich i czułem, że byli nietylko przywiązani do mnie, lecz całą duszą i sercem oddani mi. A trzeba było też słyszeć, jak wmawiali we mnie, że padają z wycieńczenia, że od urodzenia nie pracowali tak ciężko, jak u mnie! Zresztą byli wyjątkowo uczciwi: on kradł mi tylko papierosy, krawaty, pastę do zębów i różne świcidełka dla Marji, a ta ostatnia — nie ruszyła niczego, poza kremem do twarzy, przyrządami do manicure'u i czekoladkami. Jeszcze jedna, najważniejsza może przyczyna, którą trudno będzie zrozumieć mieszkańcom Północy: to ten straszliwy, nieustanny, piekielny upał podrównikowy! Niech kto spróbuje odprawić służbę przy +40 stopniach C gorąca i spróbuje iść kilka kilometrów do miasta na poszukiwania nowej pary leniuchów! Mnie się to nie bardzo uśmiechało, więc Jose i Marja spędzali nadal swój niczem niezamącony żywot, w mojem osiedlu na brzegu Atlantyku.

Przyjaźń Marji i Jase, która, nawiasem mówiąc, zamieniła się później w bardziej gorące uczucie, powstała na twardym fundamencie wspólnego ich zamiłowania do mody.

Tak wytwornego i eleganckiego młodzieńca, jak mój lokaj, i tak szykownej czarnej panienki, jak moja praczka, trudnoby było spotkać w całym okręgu benguelskim! Kiedy w sobotnie południe szli pod rękę na spacer w alei palmowej, leżącej wśród plantacyj kawowych i kakaowych, przemawiając do siebie czule i gryząc od czasu do czasu twardą łodygę trzciny cukrowej, każdy spotkany murzyn, czy murzynka, rzucić za niemi musieli spojrzenie, pełne zachwytu i zazdrości.

Zarówno Jose, jak i Marja, słynni byli na całą okolicę, jako najlepsi znawcy mody murzyńskiej, każdy więc „czarny“ i każda „czarna“, w razie powstania jakichkolwiek wątpliwości z dziedziny ubrania, uczesania, czy też zachowania się w towarzystwie, przybywali tłumnie do mojej osady, by rozstrzygnąć swe wątpliwości u źródła.

Któregoś wieczora i mnie danem było wysłuchać całego wykładu na ten temat.

Siedziałem w namiocie sam jeden, listów z Europy już dawno nie było, nie miałem co robić i nudziło mi się bardzo. Zawołałem więc Jose i Marję, by pogawędzić z niemi trochę. Za mojem pozwoleniem, lokaj zapalił papierosa, a dziewczyna, jak to jest przyjęte u murzynek, — fajkę.

— Czy wiecie, co znaczy moda? — zapytałem, gdyż dawno już interesowałem się zasadami mody „czarnych“ i ich poglądami w tym kierunku.

— Naturalnie, że moja wiedzieć! — oparł Jose. — Moja znać moda męska, jak żadna inna czarna chłopaka, a Marja znać kobieca moda, jak żadna inny dziewczyna w Angola!

— A więc, powiedz mi, co to jest moda i na czem ona polega?

— Moda, — rozpoczął Jose, — to jest, kiedy chłopaka, albo dziewczyna, ubierać się tak, że wszystka inna im zazdrościć. Ale moda się często zmieniać i jeśli kto nie wiedzieć, że się już zmienić i robić coś, co być już nie modne, to taki ktoś być bardzo śmieszna. Zaraz moja mówić przykład: dawniej być bardzo modna nosić obrączka z drut, co być miedziany, w nosie. A teraz nosić obrączka w nosie tylko dzika chłopaka i dziewczyna w „mato“ (w głębi kraju).

W „mato“ moda nie być wcale, bo jak może być moda, jeśli wszyscy tam chodzić zupełnie nago!? A u małe dzieci, to nawet tu nie być moda, bo też chodzić nago. Niema żadna moda także u króli murzyńskich i u ich świty, a to dlatego, że jak król nawet nago chodzić, to i tak mu wszyscy zazdrościć. A więc moja będzie mówić tylko o moda u „czarnych“, co mieszkać w miastach i w „sinżale“ (w wioskach podmiejskich).

Czarna „gentleman“ nie powinna nigdy chodzić bez koszula i bez buty. Koszula może być dziurawa, — to dla moda nic nie szkodzić, — tak samo i buty, jeśli być dziurawa, — nie szkodzić. Dawniej być moda nosić ubranie, co być zrobiona z worki od kawa, i jeśli na worek być litery, to litery te nosić z przodu na brzuch. Dziś już, prawdziwie elegancka chłopaka nie nosić ubranie, co być zrobiony z worki. Jeśli oprócz spodnie i koszula ktoś mieć jeszcze marynarka, to w kieszonka trzeba nosić dwie mała chusteczka do nosa.

— A dlaczego dwie chusteczki? — pytam.

— Bo trzeba pokazywać, że się ma nie jedna tylko chusteczka, a więcej. Tak samo, jeśli jaka chłopaka posiadać dwa kapelusze, to jedna kapelusza nosić zawsze na głowa, a druga kapelusza nosić w ręka. Wtedy inna chłopaka zabardzo zazdrościć! Jeśli która mieć krawat, to trzeba mieć i kołnierzyk, bo nosić krawat bez kołnierzyk nie być modna. Ubranie u elegancki chłopaka powinna być albo biała, albo czarna, albo granatowa. Inna kolor nie być modna.

— No, a jeśli taki chłopiec, który nie ma wcale ubrania, zobaczy u innego zielone ubranie i pozazdrości mu, to wtedy i zielone ubranie będzie modne? — zapytuję.

— Żadna modna chłopaka nie zazdrościć nigdy zielona ubranie! — odpowiada z powagą Jose.

— Czy to już są wszystkie zasady męskiej mody? — pytam.

— Wszystkie! — mówi chłopiec z przekonaniem.

— A co powiesz o kobiecych modach? — zwracam się do Marji.

— Moda dla kobieta być nie taka prosta, jak u chłopiec! W „sinżale“ kobieta nosić tylko spódnica i pokazywać piersi, a w miastach, nie być modna, kiedy widać piersi. Być modna zaplatać na głowa dużo mała warkoczyki i pomiędzy warkoczyki głowa trzeba wygolić. Nosić pantofle i pończochy nie być modna u czarna kobieta, choć „biała“ i „kolorowa“ (mulatka) zawsze nosić ubranie na nogi.

— No, a jakie kolory tkanin, w które się zawijacie, są modne?

— Być modna biała, albo biała w niebieskie, lub czerwone desenie. Żółty kolor być bardzo ładna, ale może go nosić jedynie kobieta, co pochodzić z królewski ród.

— A czy modna czarna kobieta maluje sobie usta i pudruje się?

— Malować usta nie być wcale modna, ale tylko jedna raz na cały rok, kiedy być karnawał; wtedy kobieta używać do twarzy dużo — zadużo mąka z kukurydza!

— Jaka biżuterja jest teraz modna u murzynek? — zadaję pytanie.

— Naszyjniki, — mówi Marja, — powinna być w spokojna kolora i tylko z drobna kuleczka. Na jedna nitka wszystka kuleczka potrzeba być jednakowa wielkość i jedna kolora. Moja widzieć, że biała Senhora nosić naszyjnik, która na jedna nitka mieć kulka i duża i mała, być i czerwona i niebieska i żółta. U murzynek to nie być wcale modna! Bransoletki, co nosić czarna kobieta na ręce i na nogi, musi być płaska i bardzo szeroka. Bransoletka z miedziany drut już nie być teraz modna. Kolczyki nosić bardzo mała i tylko złota i srebrna kolora, bez kamień. A pierścionki nosić szeroka z kolorowa szkiełko co świecić.

— Jako ostatnie zapytanie w moim wywiadzie na temat mody, zadaję Jose i Marji dość niedyskretne, jak na kolonjalne stosunki, zapytanie:

— A czy „kai-kai“ jest modne? („Kai-kai“ — oznacza spożywanie ludzkiego mięsa, tj. ludożerstwo).

Na twarzach lokaja i praczki widać zmięszanie, a policzki stają się popielate, co u „czarnych“ oznacza rumieniec. Jose jest nawet nieco dotknięty mojem nietaktownem zapytaniem.

— To nie być modna, — odpowiada z godnością. — Murzyni w okręgu Benguela już dużo-zadużo lat nie robić „kai-kai“! Już więcej jak osiem lat! Moja nigdy nawet nie spróbować ludzka mięso, a Marja próbować, kiedy być mała, zupełnie malutka dziewczynka.

— No, i smaczne było? — zapytuję.

Obrażona Marja zamiast odpowiedzi odwraca się plecami i wychodzi z namiotu. Za nią pocichu wysuwa się i Jose.

Nie o wszystkich odcieniach mody można, widocznie, mówić z murzynami.

Adam Paszkowicz.

DWA TYGODNIE POD CZAREM UŁAŃSKIM.

Ciszę, odpoczywającego dwugodzinnym snem południowym podwórza, przerywa warkot maszyny. Wjeżdżające auto wznosi tuman kurzu — budzi stokrotne echa w uśpionych stodołach i zatoczywszy półkole, przed najwyższym budynkiem, zatrzymuje się. Krótka konferencja z kimś kompetentnym, zabrzęczały ostrogi, błysnęło słońce odbite w lśniących daszkach czapek, ręce obnażone do łokci chwyciły kierownicę. Auto znikło za przeciwległą bramą, zostawiając tuman duszącego prochu, zapach spalonej benzyny i zawieszone w gorącem powietrzu niecierpliwe pytanie? Pytanie w zaglądających z za słupów bram, postaciach dziewcząt i w zawieszonych, na szkłem pokrytych murach, chłopaków. Odpowiedź: Manewry!!

MA -- — NEW — — — — RY !!

Jak wicher przeleciało przez dwór i wieś, rozchodząc się szybko po okolicy.

Rozpaliły się dyskusje i spory, od politycznych począwszy, a skończywszy na toaletowych. Wyciągnięto z podręcznego zapasu rozmów okolicznościowych parę zdań o kryzysie i parę o koniecznej oszczędności, przez którą jedynie... i t. d., a z piwnicy, dużo francuskiem słońcem i polskim ogniem napełnionych butelek. Zamęt trwał krótko... przygotowania konieczne poczyniono i nastała cisza... cisza pełna wyczekiwania, którą przerwać dopiero miało wejście wojska.

Przerwało ją jednak wcześniej, żałosne beczenie cieląt, pod któremi drżały ze strachu łaciaste nogi i (dosłownie nieludzki) wrzask, uciekającego i łapanego w chmurze piór, drobiu.



W drodze na kwaterę.

I dopiero potem, w piękne popołudnie sierpniowe, otworzyły się bramy i serca, na dźwięk nadjeżdżającej orkiestry wojskowej.

Są, już przyjechali!

Orkiestra na białych koniach gra marsza pułkowego, potem sztandar i szwadron honorowy. Ba — — — czność! Prezentuj broń!

Przy dźwiękach hymnu narodowego wniesiono sztandar i ustawiono przed nim wartę.

Chwila była podniosła, miny, jak przystało poważne i takie, jak to zwykle przed ogólnem zapoznaniem.

Zrobiło się troszkę zamieszania, wzajemna wymiana nazwisk, których nikt wtenczas nie zapamiętał, ani zrozumiał, kilka badawczych spojrzeń przelotnych, i...

— Panowie pozwolą... Ten pokój wybrał pan pułkownik... a pan porucznik, ten. Bardzo prosimy... mam wrażenie, że będzie panom wygodnie. Jagna! szklankę wody ze sokiem, pod czwarty, dla pana majora.... Rolf, będziesz cicho!... Że też ten pies zawsze najwięcej szczeka wtenczas, kiedy nie potrzeba!...

Przez ten czas, my, domowe, zebrane w buduarze pani domu, wymieniamy szybkie spostrzeżenia i uwagi na temat naszych gości i „pierwszego wrażenia".

Powstają spiski, kto gdzie przy stole i przy kim, potem spojrzenie w lustro (trudno, już takie jesteśmy) i udajemy się do jadalni na kolację. Zasiadamy jeszcze ogromnie godnie i sztywnie wstajemy zupełnie obłaskawieni. Lody towarzyskie i wiśniowe znikły bez śladu, a została paczka ludzi zżytych, świetnych kompanów, którym odrazu zrobiło się ze sobą bardzo dobrze.

Poczuliśmy, my domowi, że z tym przemiłym i eleganckim pułkiem zadzierżgnęła się nic sympatji, która nie zerwie się, jak to zwykle bywa, z końcem manewrów.

Od dnia tego zaczęły się manewry właściwe....

Przez wieś poprzeciągano jakieś druty, na podwórzu zadymiły kuchnie polowe.... W kancelarji stół pokrył się mapami, dzwonił bez przerwy telefon i stukała maszyna do pisania.

W upalne południa i ciche noce wpadał niespodziewanie donośny tentent, warkot maszyny lub dalekie strzały...



A strzały te — czasem, przez krótką chwilę, przyspieszały tętno serca i nasuwały przed oczy obrazy, schowane już głęboko, a jednak tak jeszcze świeże, zwłaszcza dla mieszkańców wschodnich kresów Polski.

Po polach migały sylwetki jeźdźców pochylonych, goniących, lub chroniących się przed wrogiem „na niby". Panowie nasi pracowali zawzięcie, bez względu na pogodę i porę dnia, nie mając nieraz czasu na posiłek, a na wymówki stroskanej pani domu, odpowiedzią był krótki ukłon, brzęk ostróg — służba!

Gdy po jednych takich nocnych ćwiczeniach, podczas których świeciły im pioruny, a deszcz lał strumieniami, wrócili panowie nasi do domu, psy wyły na ich widok, a picolo, gdy wszedłszy do pokoju, zobaczył płaszcz tak przesiąknięty deszczem, że sam stał na podłodze, przeżegnał się i upuścił przedmiot, trzymany w ręce, który stłukł się z hałasem.

Były jednak i chwile wolne. „Manewry niewłaściwe". Nie dlatego niewłaściwe, żeby działo się coś niewłaściwego. Boże broń!

Piszę tak tylko dlatego, żeby ustęp ten różnił się zasadniczo od poprzedniego. — Były to właśnie chwile wolne od ćwiczeń. Czas ten dzieliliśmy rytmem tanga, rumby i szelestem odmierzanych w notesie robrów. Wtedy też pracował aparat... ale fotograficzny. Rozlegały się salwy... ale śmiechu.

Goście nasi starali się w przemiły sposób urozmaicić nam te wolne chwile. Świetna ich orkiestra koncertowała, organizowali wycieczki na niedaleką plażę, na konkursy hippiczne, gdzie podziwialiśmy ich wyczyny i oklaskiwali szczerze.

Pod koniec tych dwóch tygodni tworzyliśmy już jedną wielką rodzinę, a głośnymi wyrazami tych uczuć, byli dowódca pułku i pan domu, którzy w toastach i mowach do siebie wypowiedzianych, streścili rzeczowo te nasze wzajemne uczucia.

I miał rację wachmistrz, dyrygujący muzyką w pewną noc wrześniową na terasie dworu. Spojrzał przez szerokie drzwi, otwarte do holu, na wirujące pary w lampasach



Ułani na manewrach.

i crepe-satin'ach, odsłaniających śniade plecy i spojrzał na trawnik przed domem, gdzie w jasnych kwadratach odbitych okien, migały ostrogi i czerwone nogi dziewcząt. Ogarnął ten obraz i rzekł do dziedzica:

— Oj, smutno tu będzie i pusto, jak ułani odjadą".

Tak tak. — Ułani, ułani, malowane dzieci...

Wesoło było!

Nie obeszło się jednak bez tragicznego wypadku.

Jakby nie bacząc na to, że przecie wszystko podczas manewrów dzieje się na niby, jeden duży przemiły chłopak znalazł wroga prawdziwego. Wróg ten, z kasztanowatą czupryną i szafirowemi oczami wziął go w niewolę i to niebylejaką, bo na całe życie.

Niewola taka zakuwa w maleńskie złote kajdany — „i nie pomoże już nic", jak śpiewa Bogucki w jednej swojej piosence.

Erka. (Poznań).



— Dobra kuchnia to grunt — mówi plutonowy.

CO NOSI ELEGANCKI PARYŻ.

Westchnienia wszystkich kobiet świata płyną do Paryża, jako do ziemi obiecanej, gdzie się znajdują rajskie ogrody mody. Rajskie ogrody, gdzie wszystkie dary natury służą dla celów mody kobiecej. Cenne skóry najrzadszych zwierząt, pióra wspaniałe ptaków i tkaniny wszelkiego rodzaju aż do lśniących złotem i srebrem lam o metalicznym połysku. Wszystko to składa Paryż u stóp królowej stworzenia... kobiety.

Więc marzą o Paryżu młodsze i starsze przedstawicielki płci pięknej, bo jednym stwarza on swemi strojami najpiękniejszą oprawę młodości, a drugim tę młodość przedłuża przez umiejętnie dobrane modele i szczegóły tualety.

— — — — — — — — — —

Jesień stanęła w znaku futer i piór.

Futra nosi się najrozmaitsze. A że faworytem jest kolor czarny i biały, więc futra w tych kolorach są najmodniejsze. Szczególnie gronostaje, karakuły i Breitschwanze — te ostatnie także w białym kolorze. Ponadto ulubionem futrem są znów popielice, z których małe żakieciki do ciemnej spódniczki są bardzo efektowne.

Nowością w dziedzinie futer są czapeczki futrzane. Futra na ten cel używane, muszą być z gatunku najbardziej miękkich i podatnych, aby nie poszerzały główki kobiecej, a układały się jak aksamit w najdrobniejsze fałdziki. Breitschwanze o krótkim włosie, a poza tem wchodzące w modę skóry jeleni, danieli i giemz, dadzą się ślicznie modelować na toczki i wszelkiego rodzaju berety. Do celów sportowych służą czapeczki skórzane z gładkiej skóry, nieraz bardzo oryginalnie wykonane w kilku kolorach z ażurami, guziczkami itp.

Futra jako przybranie płaszczy i kostjumów wełnianych i jedwabnych dają dużo oryginalnych pomysłów i są coraz inaczej kombinowane. Kołnierze, manszety, całe rękawy z futra i zarękawki, ślicznie wyglądają zarówno przy modelach sportowych, jak i wizytowych, przy angielskich, jak i przy francuskich, fantazyjnych kostjumach.

Suknie wieczorowe to prawdziwe poematy. Cenne jedwabie i lamy, aksamity i tłoczone velour chiffon, nie potrzebują innego kroju jak najprostszy, przylegający do figury o wysokim stanie. Tutaj widzi się te wspaniałe tualety z jeszcze wspanialszemi klejnotami. Blask ich walczy o pierwszeństwo z barwami tęczy, które łamią się na pięknych tualetach wieczorowych.

Prawdziwy raj dla pięknych pań, które mogą tu u źródła mody przejrzeć się w olśnionych oczach koła wielbicieli.

DO X.





Znana artystka Suzy Vernon w żakieciku z białych Breitschwanzów. Czapeczka z tegoż futra i giemzy.
Model Rose Valois.



Toczek sportowy ze skóry w dwóch kolorach, białym i brązowym.
Model Le Monnier.



M-lle Loute Geury w sukni wieczorowej ze srebrnej lamy deseniowej, przybranej paskiem z czerwonej skóry.
Model Jean Patou.

Powyżej:
Czarny kostjum z crepe satin przybrany karakułami.
Model Jeau Patou.

NIEWIDZIALNE MANEWRY I „POLSKI“ MARSZ NA BERLIN.



Kawalerja niemiecka patrolująca w pobliżu Frankfurtu nad Odrą.



Auta osobowe, przybrane w blachy, imitujące tanki armji polskiej.



Prezydent Hindenburg, słuchający raportu gen. Hammersteina, na manewrach nad Odrą.



Przeprawa kawalerzystów „niebieskich“ przez Odrę.

Prawie równocześnie odbyły się wielkie manewry jesienne w Anglji, Francji i Niemczech. Manewry angielskie przeszły prawie bez echa, wykazały jednak dobitnie, jak wielką wartość posiada motoryzacja armji. Naturalnie w państwach, posiadających odpowiednie drogi, tam bowiem, gdzie niema odpowiedniej sieci komunikacyjnej motor jest tylko zawadą, a praktyczne zastosowanie mają po dawnemu konie. Dotyczy to zwłaszcza artylerji.

Manewry francuskie, w których uczestniczyło 40 tysięcy żołnierzy, nazwano „niewidzialnemi“, dlatego, że zadaniem oddziałów, biorących w nich udział było zastosowanie takiej taktyki, aby ruchy ich były niewidzialne, przedewszystkiem dla lotników. Manewry te miały charakter w pierwszym rzędzie doświadczalny. Osobliwością tych manewrów była dywizja całkowicie zmotoryzowana. Zagraniczni attache wojskowi nie zostali dopuszczeni do tych ćwiczeń...

Jak dzisiaj rzeczy stoją, Francja jest największą potęgą militarną, już nietylko Europy, ale i świata. Posiada bowiem olbrzymią armję, wyposażoną w najnowszy sprzęt wojenny. Posiada ogromne rezerwuary ludzkie, w postaci kolonij, no i skarb złota wartości 80 miljardów franków. Jeżeli do tego dodamy, że żołnierz francuski w czasie wojny światowej okazał się pierwszorzędnym materjałem bojowym, że odznacza on się inteligencją, wytrzymałością i że jest niezrównany zarówno w walkach pozycyjnych, które wymagają cierpliwości, jak i w ofenzywie, która jest próbą sprawności nerwów i ducha, to zrozumiemy wściekłość Niemiec, przepojonych hasłami odwetowemi, które rozumieją, że nie mogą się nawet mierzyć z tą przepotężną siłą, jaką reprezentuje dzisiaj Francja. Armja bowiem niemiecka została na mocy traktatu wersalskiego zredukowana do 100 tysięcy bagnetów. Składa się ona wyłącznie z ochotników, gdyż przymus powszechnej służby wojskowej został zniesiony. Niemieckiej armji nie wolno posiadać ani tanków, ani ciężkiej artylerji, ani aeroplanów, ani gazów, ani wreszcie sztabu generalnego.

Naturalnie na papierze. Bo w rzeczywistości, od czasu, kiedy kontrola aljancka skończyła się, któż może sprawdzić, co robią Niemcy u siebie, w swoich fabrykach? To jedno jest pewne, że nie próżnują i że obok armji oficjalnej posiadają inne organizacje wojskowe, liczące krocie członków, a wychowane w stanie ciągłego pogotowia wojennego. Ostatnio Niemcy rozpoczęli na terenie międzynarodowym energiczne kroki za t. zw. „dozbrojeniem“. Żądają więc, korzystając z konferencji w Genewie, aby mogły posiadać armję, taką, jaką uznają za stosowną i potrzebną do obrony swych zagrożonych (!) granic. Aby zaś żądaniom tym nadać większą wagę, urządzili Niemcy wielkie manewry nad Odrą, które trzymały w napięciu przez dłuższy czas cały kraj. Założeniem tych manewrów był atak nowoczesnej zmotoryzowanej armji czerwonej z nad Odry na Berlin. Nietrudno się domyśleć, że tą czerwoną armją była Polska. Wojska niemieckie robiły, co mogły, aby pochód nieprzyjaciela zatrzymać, ale wysiłki ich spełzły na niczem. Czerwoni (czytaj Polacy) przeszli wśród walk Odrę i zdobyli Frankfurt nad Odrą, zagrażając tym sposobem Berlinowi.

Osoby, które w tych dniach przebywały w Niemczech, opowiadają, że z manewrującą armją niemiecką szczególnie zgodnie współdziałała prasa wszystkich odcieni. Wszystkie dzienniki wysłały na teren manewrów „specjalnych sprawozdawców wojennych“, którzy w obszernych telegramach, zaopatrzonych w sensacyjne tytuły, alarmowali publiczność, że „dzisiaj padło miasto X“, że „armja czerwona (polska) zajęła już wieś Y“, że „zdaje się nie uratujemy pozycji Zet“, że „linję Odry jeszcze trzymamy, ale będzie ona musiała być opróżniona“, że „bohaterskie wojska niemieckie jeszcze bronią Frankfurtu, ale będą musiały go opuścić“, że itd.... Z prasą alarmującą w ten sposób społeczeństwo niemieckie współdziałał i rząd, zabiegający wszystkiemi sposobami, by manewrom nadać w opinji publicznej widmowy charakter faktycznej rozprawy wojennej z Polską. Charakterystyczny był również rozkaz władz pruskich, by dzieci ze wszystkich szkół niższych i średnich, oficjalnie, pod przewodnictwem nauczycieli, przypatrywały się akcji wojennej.

Łatwo domyśleć się celu tych wszystkich alarmów i propagady. Miała ona wykazać zarówno przeciętnemu Michelowi, jak i zagranicy, że Niemcy są zupełnie bezbronne i że na wypadek napadu polskiego trzeba się liczyć z ewakuacją Berlina. Oczywiście zagranica poznała się na tej całej grze, w Niemczech jednak jeszcze bardziej wzrosły nastroje nacjonalistyczne. Bardzo dobrze jednak się stało, że i Niemcy zaczynają już rozumieć, choć narazie nieszczerze, że armja polska to potęga.

Oszczędzi im to bowiem niejednego złudzenia. Tak, jak bowiem w locie okrężnym niespodziewanie zwycięzcą został Polak, porucznik Żwirko, na aparacie polskiej konstrukcji, tak i na wypadek próby zbrojnego zagarnięcia Korytarza, czy innych ziem polskich Niemcy przekonałyby się bardzo szybko, że Polska, to nie Belgja i kto wie, czy w ciągu dwóch tygodni nie usłyszeliby rzeczywiście strzałów pod murami Berlina. Dlatego polityka niemiecka, jeżeli chcę być realną, powinna pogodzić się z istnieniem obok siebie potężnego sąsiada wschodu i szukać z nim porozumienia, aby Europie i światu zapewnić nareszcie pokój i dobrobyt i odsunąć raz na zawsze zmorę wojny.

W. S.



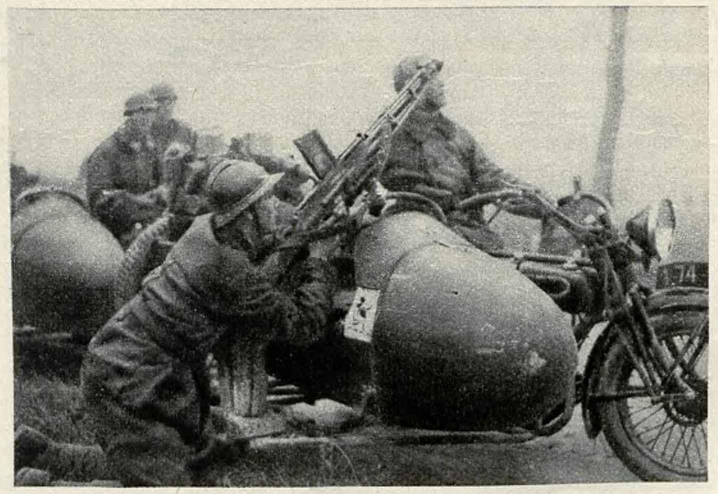
W tych dniach odbyły się wielkie manewry francuskie w Szampanji. Na zdjęciu minister lotnictwa Painlevé, kroczący przed frontem oddziałów.



Praktyczna lekcja używania maski gazowej.



Tabory francuskie posuwające się obok długiej kolumny tanków i aut pancernych, należących do zmotoryzowanych dywizyj.



Zmotoryzowany karabin maszynowy, ostrzeliwujący lotników nieprzyjacielskich w pobliżu Mailly, w Szampanji.

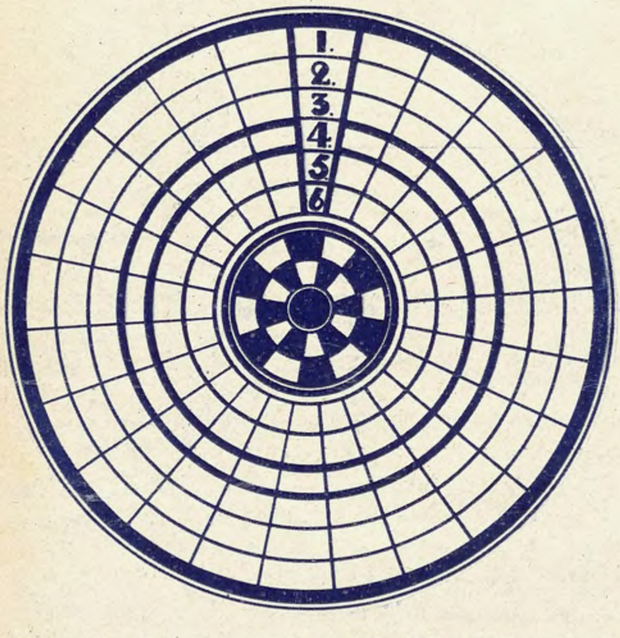
Szarada.

(uł. Ludwik Ciesielski, czł. Kl. Szar.).

Nie umilkły jeszcze entuzjazmu głosy
Dziewięć cześć rycerza lotu zwycięskiego,
Gdy **raz-drugi-trzeci** orzeł, pod niebiosy
Znowu wzbił się, lecąc do grodu czeskiego.
Wszystkich **sześć-trzynaście** się oczy wesoło,
Widząc w pięknym locie podniebnym potęgę —
To też przed rycerzem każdy zniżył czoło,
Gdyż On przywdział Polskę w **tuzin-siódmej** wstęgę.
Nagle, jak grom z nieba, straszna wieść runęła,
Od której się z bólu każde serce wije,
Wieść, **dwa** nas okropna, nerwami wstrząsnęła,
Że... Żwirko **dziesiąte-ósme!** Już nie żyje...
Choć był **szósty-siódmy** odważny i pilny,
Chociaż, jako **czwarty-piąty** walczył w górze —
Zmógł Go żywioł straszny, żywioł wielki, silny.
Bo któż rozszalałą powstrzymałby burzę?
Już **trzy-jedenastych** zginęło na świecie
Uskrzydlonych druhów Twoich bohaterze...
Lecz po stracie Ciebie, wielki ból nas gniecie,
Łzą **pierwsze** się oko... żal nam Ciebie szczerze...
Niech więc podczas każdej **dziesiątej i czwartej,**
Wiatr gra Ci wdzięczności pieśń ku Twojej chwale,
Niechaj polne kwiaty w **dziewięć-jedenastym,**
Szumią pieśń **dwunastej-siódmej,** sławy stale...
A pamięć o Tobie nigdy nie zaginie,
Choć w błękit podniebny **trzeci** nie polecisz,
Bo czyn Twój we wszechświecie bohaterstwem słynie,
Złotemi zgłoskami jest już **czwarty-trzeci**
Niechaj na mogiły Twoją i Wigury,
Lecą złote liście jesiennej poświaty,
Bo **dziewiąte skrzydłach** orlich w niebios góry,
Odleciały Wasze dusze już w zaświaty...

Mozaika.

ułożył Kazimierz Wacławski.



W podaną figurę wpisać dośrodkowo 23 wyrazy tak, aby litery w czwartym rzędzie dały rozwiązanie. Prosimy o podanie wszystkich wyrazów pomocniczych.

Znaczenie wyrazów:

1. Urzędnik w staroż. Atenach. 2. Lina, odciągająca krawędź żagla. 3. Zwierzę ssące, drapieżne. 4. Kamień ozdobny. 5. Rodzaj ryby morskiej. 6. Zagon. 7. Bryłka ziemi lub gliny. 8. Owad z rzędu dwuskrzydłych. 9. Rohatyna. 10. Rurka żelazna wewnątrz piasty na kole. 11. Równomierne rozmieszczenie towarów na okręcie. 12. Gra hazardowa. 13. Pas skórzany z kieszonką wewnętrzną na pieniądze. 14. Liczydło. 15. Miasteczko na Litwie w pow. kretyngowskim. 16. Feldmarszałek turecki. 17. Minerał: blenda smolista. 18. Długi „wierzchni płaszcz prałatów i kardynałów. 19. Postać z „Pana Tadeusza". 20. Folwark stepowy na Węgrzech. 21. Taniec. 22. Taniec czeski (0=0). 23. Ptak z rodz. głuszczów.

Za rozwiazanie powyższych zadań Redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 8-go października 1932 r. wraz załączonym kuponem.

PROFESOR NA POLOWANIU.



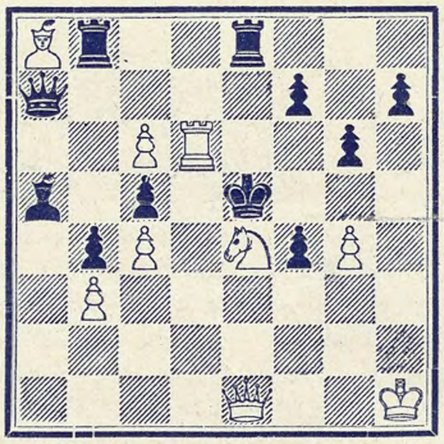
— Tam do licha, znowu mi się strzelba zacięła..

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

L. i S. Birnow („Szachmaty" 1932).

Czarne: Ke5, Ha7, Wbe8, Ga5, piony: b4, c5, f4, f7, a6, h7 (11).



Białe: Kh1, He1, Wd6, Ga8, Se4, piony: b3, c4, c6, g4 (9).

3-chodówka 9 + 11 = 20.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki L. i S. Birnowa:

1. **K—g2!** (grozi 2. H—a1±);
I. 1... G—b6 2. S—c3+ i 3×;
II. 1... G—c7 2. S—g5+ i 3×;
III. 1... G—d8 2. S—f6+ i 3×;
IV. 1... f3 2. K×f3 i 3×.

PARTJA.

Białe: **A. Brinkmann** Czarne: **Kieninger**
grana w turnieju w Ludwigshafen w r. b.

Hiszpańska.

1. e4 e5	8. S—g5!! **(4)** G—b4+ **(5)**
2. S—f3 S—c6	9. c3 f×g5
3. G—b5 f5 **(1)**	10. H—h5+ K—f8
4. S—c3 f×e4	11. G×g5 S—e7 (6)
5. S×e4 S—f6 **(2)**	12. G—c4! d5
6. S×f6+ g×f6	13. G×d5!! **Czarne poddały się. (7).**
7. d4 e4 **(3)**.	

UWAGI:

(1) Uważane jest za problematyczne w partji hiszpańskiej.

(2) W razie 5... d5 6. S—e5! jest bardzo silnem posunięciem.

(3) Dotychczas wszystko wedle teorji. W tem położeniu np. poleca Dr Tartakower (Die hypermoderne Partie) i Bilguer 8. S—h4 jako najlepszą odpowiedź dla Białych.

(4) To jest najwłaściwsza odpowiedź, która doprowadza system Czarnych ad absurdum. H. Wagner okazał ten sposób gry podczas Kongresu w Hamburgu w r. 1928. Brinckmann „odkrycie" to przez 4 lata taił, zanim znalazł sposobność zastosowania go w praktyce.

(5) Aby odparować groźbę H—h5 i bronić piona e4.

(6) 11... G—e7? 12. G—h6+ K—g8 13. H—g4+!; 11... H—e8 12. G—h6 + K—g8 13. G—e4+.

(7) Gdyby 13... H×d5 to 14. G—h6± K—g8 15. H—e8 mat.

Partja ta jest teoretycznie bardzo ciekawą i wykazuje, że nawet przy dzisiejszym ogromnym postępie techniki gry w szachy, nie trzeba zawsze bezwzględnie wierzyć autorytetom w podręcznikach o teorji otwarć.

Rozwiązanie z Nr. 36

SZARADA: Likwidacja.
REBUS: Kapitan Żwirko chluba Polski.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 36 nadesłali:

A. Witkowski, Poznań; D. Herbstmannówna, Warszawa; B. Morawski, Katowice; J. Wajsfeld, Pińczów; „Gon", Warszawa; B. Bieńkowski, Lublin; J. Świerczyńska, Lwów; J. Kowalska, Warszawa; L. N. Ihnaotwicz, Gdynia; Czytelnia T. S. L.; Węgierska - Górka; A. Papee, Katowice; J. Krosnowski, Warszawa; St. Biesiada, Ozorków; M. Skotnicka, Koprzywnica; J. Roman, Warszawa; St. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; J. Tyblewska, Poznań; T. Szetkiewicz, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; T. Kretkowski, Warszawa; N. K. Kozłowski, Warszawa; J. Szarfenberg, Kalisz; M. Niekrasz, Wilno; Z. Książczakowa, Warszawa; **Marjan Mystek, Dąbrowa-Górnicza** (Zł. 30.—); Z. Połonczowa. Warszawa; M. Fischler, Lwów; St. Kruszyński, Warszawa; M. Jelenowa, Piastów; St. Kornaszewski, Inowrocław; H. Makarewicz, Ostrowiec; K. Tiśniewski, Warszawa; Wł. Pochmarski, Lwów; ks. L. Klementowski, Tarnopol; A. Rotter, Kraków; Tl. Sobecki, Poznań; R. Schützowa, Poznań; M. Szymko, Podbrodzie; **Michalina Wysocka, Warszawa (Zł. 20.—)**, M. Garczyńska, Będzin; D. Piekosińska, Słotwina; A. Piekosińska, Słotwina; R. Mendrala, Rzeszów; H. Buczkówna, Rzeszów; „Al", Sosnowiec; J. Ruta, Wieluń; P. Feltynowski, Grodno; H. Borten, Kołomyja; „Kurnistka z Krakowa"; „Jaśka z Edkiem", Kraków; E. Komorowicz, Jędrzejów; Waksmundzka, Jasło; „Zermena", Warszawa; **Marja Szewiakowa, Wilno (Zł. 10.—)**; „Liliputka, Zahacie; Grenicheux, Warszawa; „Wrzesień", Warszawa.

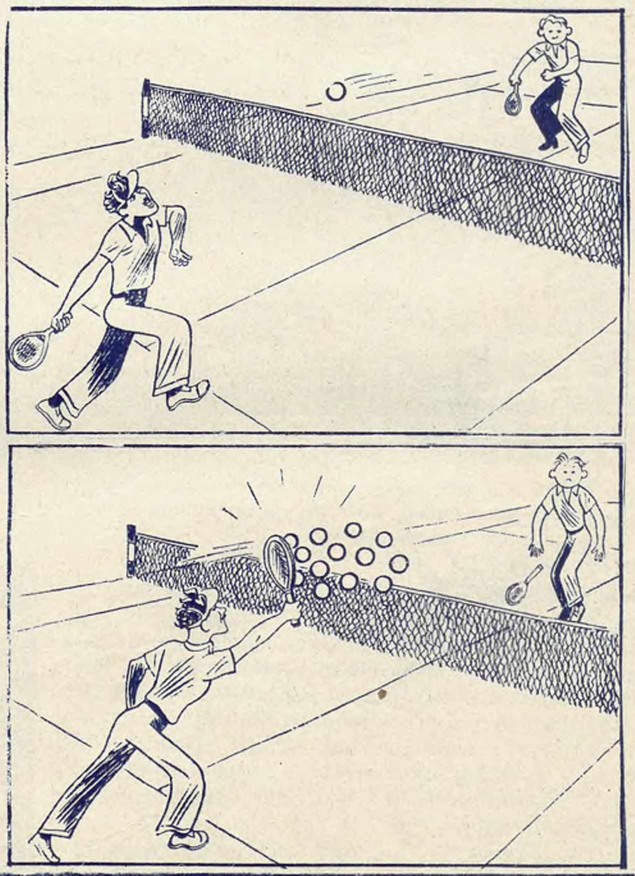
W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Marjana Mystka, Dąbrowa Górnicza (Zł. 30.—), Michalinę Wysocką, Warszawa (Zł. 20.—) i Marję Szewiakową, Wilno (Zł. 10.—).

PROBLEM.



— Czy widział pan już nową dziesięciozłotówkę?
— Nie; gdzie to można oglądnąć?...

GDY KUGLARZ GRA W TENNISA.



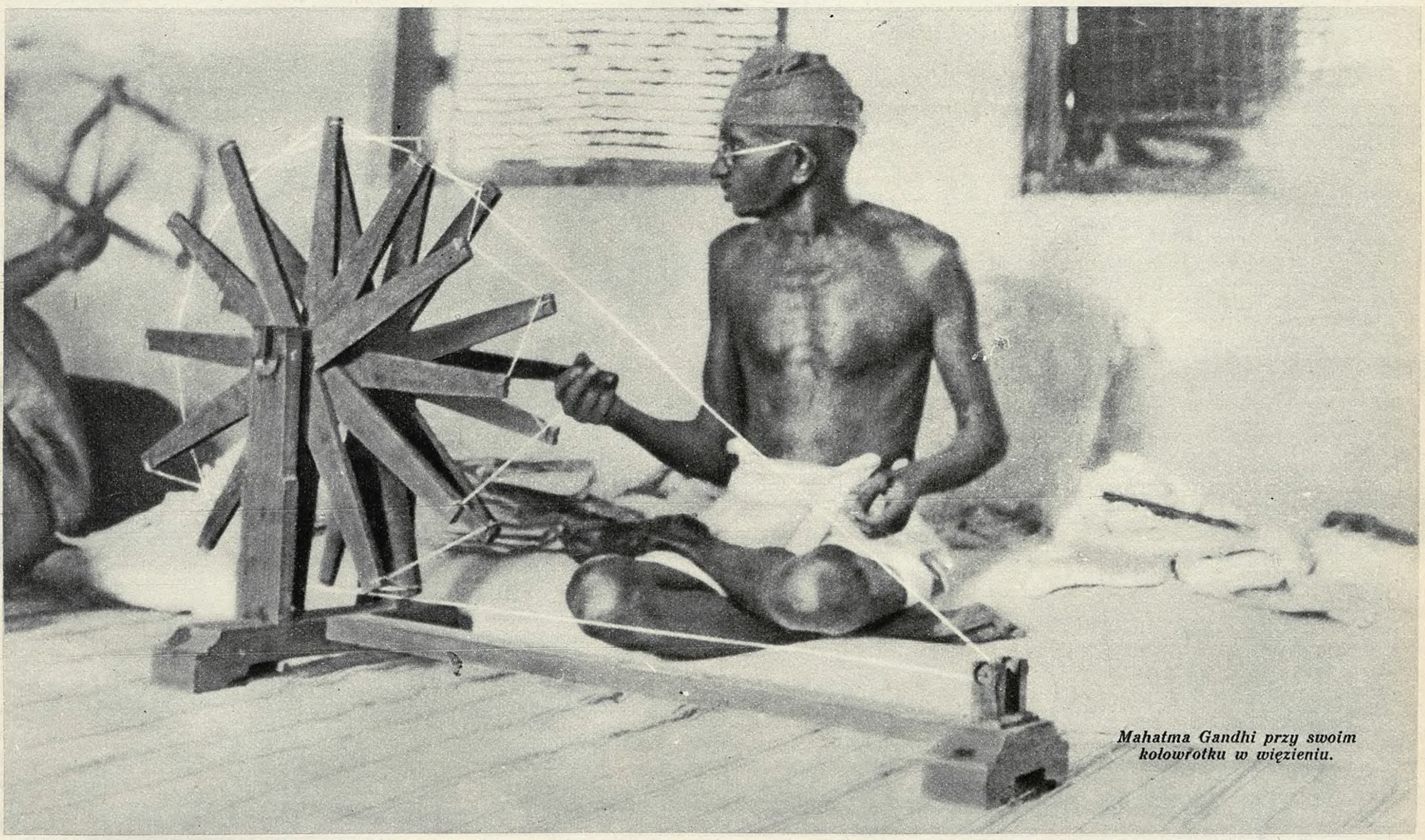
SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 156-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 40 *upoważniający do losowania nagrody*

DOOKOŁA GŁODÓWKI GANDHIEGO.



Mahatma Gandhi przy swoim kołowrotku w więzieniu.

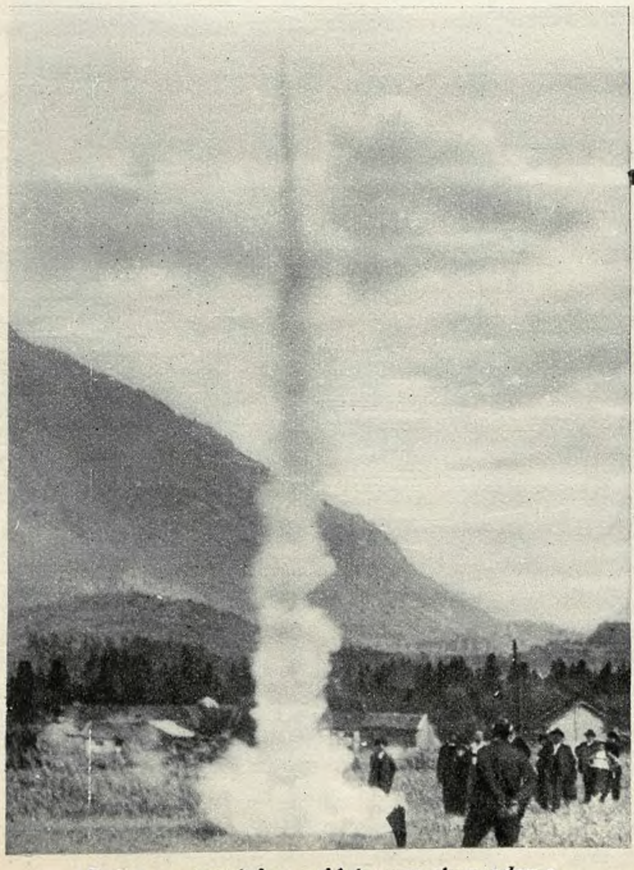
Gandhi, który od szeregu miesięcy przebywa w więzieniu angielskiem na wiadomość, że rząd brytyjski postanawia wprowadzić w Indjach ordynację wyborczą, przyznającą prawo głosu Parjasom, przeciwko czemu jaknajenergiczniej zaprotestowali Hindusi, uważający Parjasów za ludzi wydziedziczonych i pozbawionych praw, zdecydował się przed tygodniem umrzeć śmiercią głodową.

Znalazł się bowiem na rozdrożu. Z jednej strony bowiem, jako człowiek postępowy nie mógł przeciwstawiać się liberalnej ordynacji wyborczej, która jego wydziedziczonym braciom nadawała prawa do życia, z drugiej strony jednak wiedział, że Hindusi nie zgodzą się nigdy na to, aby w jednej izbie zasiadali z Parjasami. Wszelkie obcowanie bowiem z Parjasami jest Hindusom wzbronione, nie mają oni wstępu do świątyń, a prawierny Hindus oczyszcza się, gdy nawet cień Parjasa na niego padnie. Gandhi jest przedstawicielem sekty Hindusów. Aby więc pojednać Hindusów z Parjasami, a równocześnie wymóc na Anglji taką zmianę ordynacji wyborczej, którąby dla Hindusów była do przyjęcia, postanowił uczynić ofiarę ze swojego życia i umrzeć śmiercią głodową.

Głodówka jego trwała 6 dni i 5 godzin. Gandhi był już tak osłabiony, że z trudem wymawiał każde słowo. Gdy mu jednak przyniesiono telegram z wiadomością, że rząd angielski godzi się na umowę zawartą między Parjasami a Hindusami, rzekł ledwie dosłyszalnym szeptem: mój ślub jest spełniony.

Umowa Hindusów z Parjasami jest swojego rodzaju rewolucją, jak na stosunki indyjskie, świadczy bowiem, że nacjonalizm tamtejszy zdołał już zasypać przepaście pomiędzy poszczególnemi kastami, istniejące od wieków i że dzień pojednania się wszystkich Hindusów i zjednoczenia we wspólnym froncie przeciwangielskim jest bliski.

W dziejowym tym procesie głodówka Gandhiego będzie momentem zwrotnym.



Próby ze specjalną rakietą przeciwgradową w Reichenhall w Niemczech.

NOWY SPOSÓB ZAPOBIEGANIA
BURZOM GRADOWYM.

Od wieków ludzkość głowi się nad tem, w jaki sposób możnaby zapobiegać burzom gradowym, które wyrządzają tak wielkie szkody w polach i rujnują plon rolnika. Po dziś dzień jeszcze w wielu wsiach znajdują się dzwonki, względnie dzwony, którym ludność przypisuje moc odwracania burz. To też, gdy się zasępi, natychmiast chłopi przystępują do bicia w te dzwony. — U ludów pierwotnych odpędzaniem burz zajmują się czarownicy i kapłani i robią na tem niezłe interesy, niezawsze gwarantując za skutek. Obecnie czynione są próby zapobiegania burzom gradowym zapomocą eksplozyj spowodowanych przez rakiety, szybujące wysoko w powietrzu. — W czasie wojny bowiem światowej zauważono, że na froncie zachodnim, na całej jego długości, wynoszącej około 750 km., nie spadł ani razu grad. Powodem tego zjawiska były prądy powietrzne, które powstawały wskutek ustawicznej kanonady, jaka tam miała miejsce. Te prądy powietrzne powodowały mechaniczne skraplanie się chmur w postaci deszczu, zanim zdołały one dostać się w górę powyżej 700 metrów, gdzie wskutek nagłego oziębienia mogły zamienić się w lód i spaść jako grad na ziemię.

Aby więc uniknąć gradu, trzeba spowodować sztucznie silny wstrząs powietrza. Do tego celu nadają się najlepiej rakiety. Takie też próby robiono w ostatnich czasach w Reichenhall, w Niemczech, podobno z dobrym skutkiem. — Może więc niebawem dożyjemy chwili, że w krajach kulturalnych burze gradowe należeć będą do wspomnień historycznych, a pogoda będzie regulowana za pomocą wystrzałów. *Inż. A.*

ŚWIĘTA TERESKA OD DZIECIĄTKA JEZUS.



Dnia 3-go października świat katolicki czci św. Tereskę od Dzieciątka Jezus, do której lgną ze szczególniejszą miłością serca wszystkich, spragnionych w dzisiejszych chmurnych czasach ożywiających promieni wiary i religji. Na dzień ten Czytelnikom naszym przynosimy reprodukcję najpopularniejszego obrazu umiłowanej Świętej.